

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 472.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

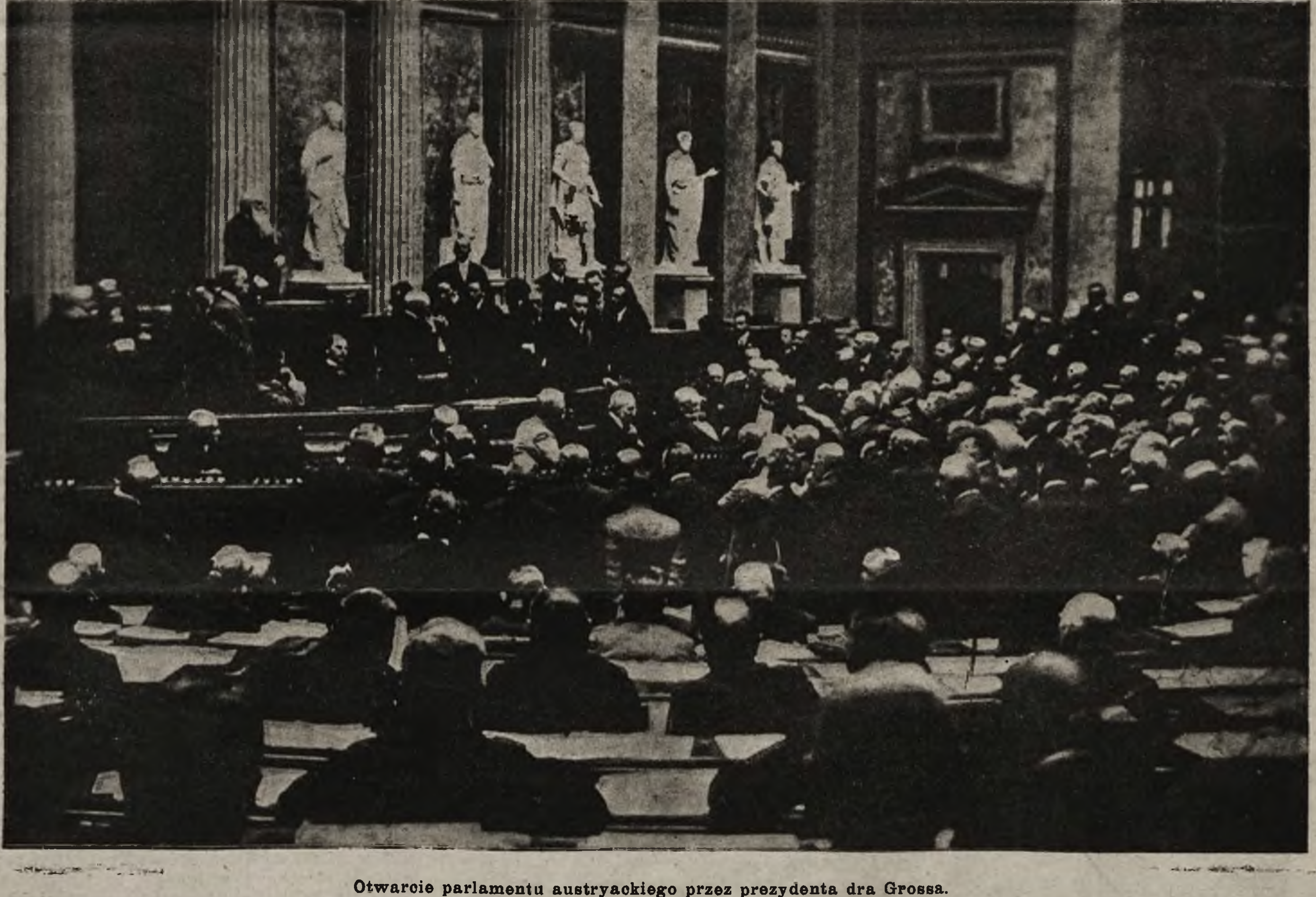
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 23. czerwca 1917.** **Nr. 25.**

Otwarcie parlamentu austryackiego.



Otwarcie parlamentu austryackiego przez prezydenta dra Grossa.

Od Wydawnictwa.

Wobec niesłychanej **drożyzny wszystkich materyałów** niezbędnych do wydawnictwa, jak papier, chemikalia i t. p., których **ceny wzrastają** niemal **z dniem każdym i podskoczyły do 500 proc.**, utrzymanie dawnej ceny pisma okazało się niemożliwe. Aby choć w części pokryć koszta wydawnictwa, co jest koniecznym warunkiem jego rozwoju, zmuszeni jesteśmy

z dniem 1 lipca b. r. podnieść prenumeratę

która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie 6 K 25 h, półrocznie 12 K 50 h, rocznie 25 K, a cena pojedynczego numeru 50 h.

Zawiadamiając o tem naszych P. T. Prenumeratorów i Agencye, mamy niepłonną nadzieję, że najszersze koła naszych Czytelników zrozumieją konieczność tej podwyżki, **tak nieznacznej w stosunku do ogólnej drożyzny.**



Otwarcie parlamentu austryackiego: Prezydent Izby poselskiej dr. Gross i wiceprezydent Jukel udają się na uroczystość otwarcia parlamentu.



Dwór wiedeński w procesyi Bożego Ciała: Cesarz Karol (X) i cesarzowa Zyta (XX) w otoczeniu dworu i gwardyi.



Boże Ciało w Warszawie: Procesya przed Zamkiem królewskim. Legioniści prezentują broń.
(Fot. Dulęba, Warszawa).

Otwarcie parlamentu austryackiego.

Po trzech latach wojny parlament wiedeński otworzył wreszcie swe podwoje. Moment ten stanowi niewątpliwie zwrotny punkt w wewnętrznem życiu Austryi, pozbawionej od początku wojny najważniejszego organu konstytucyjnego, jakim jest wolna trybuna parlamentarna. Z ogromnem też napięciem oczekiwano pierwszej „wojennej" sesyi parlamentarnej, która też już na pierwszych posiedzeniach wykazała, jak ten parlament był potrzebny dla ujawnienia rzeczywistych stosunków w państwie i zmian, jakich dokonała ta największa w dziejach wojna. A zmiany te i w układzie stronnictw parlamentarnych wyraźnie się zaznaczyły. Przedewszystkiem zaszedł w dziejach parlamentaryzmu austryackiego fakt dotychczas niebywały, że Koło polskie, w myśl powziętych w Krakowie uchwał, zajęło stanowisko opozycyjne. Uzasadnił je w dłuższem przemówieniu na jednem z pierwszych posiedzeń prezes Koła polskiego dr. Łazarski, który złożył następujące oświadczenie:

„Naród polski ożywiony uczuciem jak najgorętszej miłości ojczyzny, przejęty słusznością nieprzedawnionych praw swoich do samodzielnego państwa, dziś w obliczu wydarzeń, które mają stworzyć nowe porządki państwowe w Europie, na zgromadzeniu plenarnem polskich posłów parlamentarnych i sejmowych, na słynnem zgromadzeniu z 28. maja 1917 roku uchwalił w Krakowie znaną ogłoszoną w prasie rezolucyę. Rezolucya ta, która domaga się zjednoczonej, niezawisłej Polski i ujawnia żywotne dążenia całego narodu polskiego, jest istotą naszej polityki

i jedyną jej linią wytyczną. Wielkie idee tej rezolucyi, która wyraża najistotniejsze pragnienia i uczucia narodu polskiego, będziemy zawsze wypisywali na swoim sztandarze. Nie chcąc w niczem zamącić konsolidacyjnej pracy około utworzenia państwa w Królestwie Polskiem, rezolucya ta odpowiada naszym ideałom narodowym, jest gwiazdą przewodnią dla naszych dążeń w kierunku prawnopaństwowym".

W końcu swego przemówienia prezes Koła Polskiego wezwał rząd, „by dokonał całkowitej zmiany systemu, panującego w Galicyi, na wszystkich polach życia publicznego i gospodarczego, dalej, by rząd spowodował zupełny powrót do lepszych stosunków, a mianowicie zarówno co do konstytucyi, jak i administracyi, sądownictwa i wszelkich innych zakresów działania, ażeby wreszcie w Galicyi zapanowały normalne stosunki." „Od spełnienia tych postulatów — oświadczył — członkowie Koła Polskiego czynią zależnym swój stosunek do rządu. Dzisiaj oświadczamy, że póki te postulaty znane rządowi z wielu skarg, nie będą spełnione, póki rząd nie zechce i nie zdoła usunąć tych niedomagań, my nie będziemy tego rządu popierali."

Pierwszą znamienną próbą sił parlamentu była sprawa nowego regulaminu i uchwalenie przez większość słowiańską wniosku posła Franty w sprawie protokołowania mów nieniemieckich. Dalszy przebieg obrad nad prowizoryum budżetowem wykazał niewątpliwie gorącą chęć wszystkich stronnictw, grup i klubów do owocnej pracy parlamentarnej, ujawnił jednak wiele materyału palnego, nagromadzonego przez tak długi okres przymusowego milczenia.

Dwór wiedeński w procesyi Bożego Ciała.

Do najwspanialszych uroczystości, obchodzonych corocznie we Wiedniu, należała swojego czasu procesya Bożego Ciała, w której brał udział cesarz i cesarzowa, członkowie domu panującego, dwór, ciało dyplomatyczne, kawalerowie orderów, dostojnicy cywilni i wojskowi i nieprzeliczone tłumy pobożnych i ciekawych. Po śmierci cesarzowej Elżbiety, sędziwy monarcha sam kroczył za baldachimem, w ostatnich zaś latach swego życia musiał zaniechać uczestnictwa ze względu na podeszły wiek.

Dopiero w bieżącym roku, po raz pierwszy od lat wielu, pojawili się na procesyi Bożego Ciała obydwoje Cesarstwo w otoczeniu licznego dworu, członków domu panującego i najwyższych dostojników. Procesya, według przepisanego ceremoniału odbyła się jednak nie z tumu św. Szczepana, jak ongiś, lecz z kościoła parafialnego zamkowego po wewnętrznym dziedzińcu Burgu. Mimo to już od wczesnego ranka tysiące Wiedeńczyków pospieszyły w stronę Burgu i wyczekały cierpliwie do końca uroczystości, zwłaszcza, że dopisała wspaniała pogoda.



Boże Ciało w Warszawie: Procesya na Krakowskiem Przedmieściu (Fot. Duleba. Warszawa)

Boże Ciało w Warszawie.

Niezwykle uroczyście, bo przy udziale władz polskich i polskiego wojska obchodziła w tym roku uroczystość Bożego Ciała stolica Polski.

Gdy około godziny jedenastej arcybiskup, ks. Kakowski, odprawiał mszę św. w kościele katedralnym św. Jana, na placu Zamkowym, oraz na Krakowskiem Przedmieściu aż do kościoła Karmelitów gromadziły się olbrzymie zastępy publiczności. Po obu stronach ulicy, oraz w około placu Zamkowego ustawiły się szpalerem zgromadzenia cechowe ze sztandarami, instytucye oraz stowarzyszenia. Obok kościoła Karmelitów, Bernardynów, w pobliżu gmachu Towarzystwa Dobroczynności, gdzie były ustawione ołtarze, przed którymi odczytano Ewangelię świętą, stanęły plutony ułanów polskich, zaś na placu Zamkowym kompanie trzeciego pułku piechoty Legionów, z podpułkownikiem Galicą na czele. — W blasku pięknej pogody, na tle zieleni drzew, barwy chorągiewek ułańskich, rabaty mundurów i chorągwi cechowych nadawały obrazowi ulic niezwykły widok. Od lat wielu po raz pierwszy wieżyce starych świątyń warszawskich patrzały na bogactwo polskich mundurów i sztandarów, na mnogość broni żołnierzy naszych, chylących się w pokorze przed Bożem Ciałem. To też, gdy przy dźwięku licznych dzwonów, hejnałów, odegranych przez trębaczy legionowych z wieży kościoła Bernardynów i odgłosie muzyk legionowych ruszyła procesya, dreszcz wzruszenia przeniknął do głębi zgromadzone tłumy.

Na czoło pochodu wysunęły się bractwa kościelne z licznemi chorągwiami i dewocyonaliami, dalej zakony, a bliżej Przenajśw. Sakramentu zastępy duchowieństwa, wśród których znaczyły się stroje prałatów i biskupów. Przenajśw. Sakrament niósł pod baldachimem X. arcybiskup Kakowski, podtrzy-



Dwór wiedeński w procesyi Bożego Ciała: Urzędnicy dworscy i członkowie domu panującego przed baldachimem 1) Koniuszy hr. Palffy. 2) Marszałek dworu hr. Zichy. 3) Pierwszy ochmistrz ks. Hohenlohe. 4) Ochmistrz hr. Lippe. 5) Arc. Karol Albrecht 6) Arc. Karol Stefan. 7) Arc. Fryderyk. 8) Arc. Franciszek Salwator. 9) Ochmistrz hr. Lederer. 10) Arc. Maksymilian. 11) Ochmistrz marszałek polny por. hr. Herberstein.

mywany przez marszałka koronnego Niemojowskiego, ks. Lubomirskiego, dyrektora Pomorskiego, oraz członków Rady Stanu, Maja i Stolarskiego. Po obu stronach baldachimu pełniło straż z dobytymi pałaszami po dwóch oficerów piechoty, artyleryi i kawaleryi legionowej. W pierwszych szeregach za baldachimem kroczyła in corpore Rada Stanu, a dalej liczna reprezentacya oficerów legionowych z komendantem pułkownikiem Zielińskim, brygadyerem pułk. Hallerem, pułk. Rogalskim i innymi na czele. Brali w reprezentacyi udział wszyscy wyżsi oficerowie, do kapitanów włącznie. W dalszych szeregach postępowali członkowie Rady miejskiej i zarządu miasta, przedstawiciele milicyi miejskiej z ks. Radziwiłłem na czele, następnie grono profesorów uniwersytetu z rektorem Brudzińskim, profesorowie politechniki z rektorem Patschkem, grona profesorskie innych wyższych uczelni, młodzież akademicka i ochotnicza straż pożarna.

Przy dźwiękach pieśni kościelnych, granych przez orkiestry legionowe trzeciego pułku piechoty i drugiego pułku ułanów, oraz orkiestry straży ochotniczej, procesya podążyła ku ołtarzom. Po skończonej uroczystości kościelnej, trzeci pułk piechoty legionowej oraz plutony drugiego pułku ułanów odbyły defiladę przed komendantem, pułkownikiem Zielińskim, który obok pomnika Mickiewicza, w otoczeniu sztabu i licznie zebranej starszyzny, przeglądał szeregi żołnierzy. Dzielna postawa wojska, kroczącego przy dźwiękach marszów legionowych, wywołała wśród tłumów entuzyazm. To też niemal aż do koszar za wojskiem przy dźwiękach muzyki płynęły fale publiczności. Popołudniu ruszyły na miasto procesye z wielu kościołów, tak, że aż do zmierzchu miasto miało wygląd odświętny.

Grecya pod rządami koalicyi.

Gdy na frontach panuje chwilowy zastój, poza frontami prawie wszędzie rozgrywają się doniosłe wypadki. Każdy niemal dzień przynosi nowe przesilenie. Przesilenie we Włoszech, przesilenie w Hiszpanii, przesilenie w Grecyi — nie mówiąc już o Rosyi, gdzie przesilenie ma charakter chroniczny. Nowe wypadki w Grecyi, które pociągnęły za sobą ustąpienie króla greckiego, wskazują, że koalicya z zaciekłym uporem pracuje nad zmobilizowaniem całej Europy przeciw Niemcom.

Na półwyspie greckim ta ruchliwość koalicyi objawia się najpełniej, bo najmniej spotyka hamulców. Z początku miała koalicya nadzieję, że ruch venizelistyczny przysporzy jej nowego sojusznika. Ale venizelizm zawiódł po części pokładane w nim nadzieje, ogarnął tylko wyspy i Macedonię, a nie dotarł do starej Grecyi, która pod presyą wygłodzenia ukorzyła się wprawdzie, lecz nie przestała być wierną królowi Konstantemu. Więc Włochy zajmują Janinę i resztę Epiru, Francuzi i Anglicy wkraczają do Tessalii, docierają do Elassony i zajmują Larissę. Równocześnie przybywa do Grecyi senator francuski, Jonnart, zamianowany nadkomisarzem mocarstw ochronnych, człowiek energiczny



Grecya pod rządami koalicyi: Były francuski minister spraw zagranicznych Jonnart, obecnie komisarz dla Grecyi z ramienia koalicyi.

i bezwzględny, aby przeprowadzić to, czego nie zdołał uczynić miękki ambasador francuski, Guillemin. Jonnart jest niby likwidatorem politycznej niezawisłości Grecyi. Jakie są jego dalsze, nadzwyczajne pełnomocnictwa, nie wiadomo, ale pierwsze było radykalnem: zażądał od prezydenta gabinetu Zaimisa, by król Konstantyn ustąpił. Wojska koalicyi wylądowały w Pireusie, flota jej pojawiła się na Istmie. — Król ustąpił. Czy jest to abdykacya, czy tylko chwilowy przymusowy urlop, trudno dziś orzec. List Zaimisa do Jonnarta, zawiadamiający o tym kroku króla, mówi tylko o tem, że król, dbały o dobro Grecyi, postanowił Grecyę opuścić wraz z królewiczem. Następcą Konstantyna zostaje nie pierworodny syn, Jerzy, posądzany o równą sympatyę do Niemców, jak ojciec, lecz drugi syn, Aleksander, dwudziestopięcioletni młodzieniec, w którym koalicya widzi słusznie, czy niesłusznie, swego sympatyka. Aleksander już złożył przysięgę.

Detronizacya króla Konstantyna jest konsekwencyą energicznej polityki koalicyi w Grecyi. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego tak długo ententa z tym krokiem zwlekała i dlaczego wykonała go właśnie teraz. Podobno stało się to z tej przyczyny, że teraz, po upadku cara, król Konstantyn stracił swego jedynego orędownika w koalicyi, z którym go wiązało powinowactwo. Matka eks króla greckiego jest córką w. ks. Konstantego Mikołajewicza, i zawsze utrzymywała dobre stosunki z dworem carskim. Król Konstantyn okrzyczany był przez prasę koalicyi za tyrana Grecyi, więc odbyło się teraz w Grecyi coś, jakby parodya tego, co się stało w Rosyi: detronizacya, ale bez rewolucyi. Wierne królowi wojska otoczyły w krytycznej chwili jego pałac, generałowie całą noc radzili potajemnie nad tem, czyby nie spróbować zbrojnego oporu, lecz król postanowił ostatecznie uledz.

Opera w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 10).

Scena krakowska, na której zwykle podczas lata gościła opera i operetka lwowska, pozyskała w tym roku własną operę. Prowadzić ją będą pod kierunkiem artystycznym p. Teofila Trzcińskiego, kapelmistrze, pp. Zdzisław Birnbaum, dyrektor Filharmonii warszawskiej, znany muzyk i kompozytor, Bolesław Wallek-Walewski i dr J. Pless, dyrektor symfonicznej orkiestry tutejszej załogi.

Jako soliści, dotychczas zaangażowani na występy, śpiewać będą w początku sezonu pp. sopranistki: Janina Korolewicz Waydowa, Jadwiga Dębicka, Marya Pilarz-Mokrzycka, Ewa Bandrowska i Roman Lubieniecki (tenor oper czeskich).

Do zespołu należą stali soliści Towarzystwa operowego pp.: Ludwika Jaworzyńska, Wanda Jastrzębska, Hugo Zathey, Józef Stępniowski, Stefan Romanowski, Adam Mazanek i Antoni Issakowicz.

Chór towarzystwa operowego tworzy czterdzieści osób, orkiestra zaś będzie zwiększona o kilkunastu muzyków z wojskowej orkiestry symfonicznej.

Sezon operowy rozpoczyna teatr krakowski we czwartek, dnia 21. b. m., „Halką“, z p. Korolewicz-Waydową w roli tytułowej.



Boże Ciało w Warszawie: Defilada 3. p. p. Legionów przed pułk. Zielińskim i sztabem po procesyi. (Fot. Dulęba, Warszawa).

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

3

– Podobno bardzo ładna?

– Co tam ładna!... Ładna!... Nasza pokojówka, Joasia, jest także ładna, z czego nie wynika jeszcze, żeby miała zostać moją synową.

Po cienkich, nieco bezkrwistych wargach Loli przewinął się lekki, niedostrzegalny prawie uśmiech. Panienka rzuciła na matkę ukośne spojrzenie i po chwili zapytała znowu:

– A co będzie, jeżeli Konrad mimo wszystko zamiar swój wykona i ożeni się z nią i przywiezie ją tutaj?

Groźne błyskawice gniewu zamigotały na twarzy pani Żarnickiej.

– Nie ośmieli się! – powiedziała twardo i zamykając kredens, powtórzyła, jakby sama do siebie:

– Nie ośmieli się!

Lola miała pod tym względem pewne wątpliwości, nie wypowiedziała tego jednak głośno.

– Lolu, idź już, połóż się. Doktór kazał, żebyś wcześnie chodziła spać.

Lola posłusznie wstała z krzesła.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Kiedy nazajutrz rano pani Żarnicka przyszła o zwykłej porze na śniadanie, Konrada nie było w jadalni.

Lola krzątała się koło maszynki z kawą, a w kącikach jej ust czaiły się jakieś tajemnicze uśmieszki.

– Poproś pana Konrada na śniadanie. – zwróciła się pani domu do pokojówki, która w tej chwili wniosła pieczywo.

– Kiedy proszę pani, pana Konrada niema...

– Jakto niema? Wyszedł już?

– Pan wyjechał gdzieś rannym pociągiem... Kazał zapakować sobie czarne ubranie i kazał mi oddać ten list.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni fartucha list w zaklejonej, białej, podłużnej kopercie.

Pani Żarnicka uczyniła nagle gardłem ruch taki, jakby się zachłysnęła.

Jedna żyła na jej czole spęczniała dziwnie i nabiegła krwią.

Duże oczy otwarły się jeszcze szerzej i znieruchomiały.

Pierś zaczęła falować szybko, gwałtownie.

Jednak panująca zawsze nad sobą kobieta nie zapomniała o tem, że w obecności służącej nie wolno się jej zdradzić ze swoim gniewem.

Odetchnęła głęboko i wyciągnęła rękę po list.

– Dobrze, możesz już iść do kuchni. – wyrzekła spokojnie, trochę wszakże zmienionym głosem.

ROZDZIAŁ III.

– Józka! Gdzie ty latasz na taki psi czas i to wieczorem?... Przeziębisz się i jeszcze jaką zaraźliwą chorobę do domu przyniesiesz!... Ale tybyś kiedy o czem rozsądnie pomyślała!...

– Niechże się ciocia nie boi!... Nic mi nie będzie!... Nie przeziębię się, nie zachoruję, żadnej choroby cioci nie przyniosę!...

– A to co znowu za waryackie gadanie!... Mówisz, jakbyś z Panem Bogiem kontrakt zawarła!... Każdy może zachorować!

Józia wzruszyła niecierpliwie ramionami. Zdjęła żakiet i czapkę futrzaną i powiesiła je na wieszadle w małym, ciasnym przedpokoiku, słabo oświetlonym niewielką kuchenną lampką.

– Mogłabyś przynajmniej otrzepać żakiet ze śniegu... – pouczyła ciotka – Zniszczysz go, a nie masz przecież dziesięciu żakietów, ani setek, naszykowanych, żeby sobie sprawić nowy.

Ponieważ Józia nie spieszyła się jakoś, żeby wykonać polecenie, panna Antonina Korzewska wyciągnęła sama swoją kościstą rękę po żakiet. Oczyściła go starannie ze srebrzystych, topniejących gwiazdeczek śniegowych i wygładziła troskliwie ciemno-granatową materyę i futerko kołnierza.

Siostrzenica wszakże nie skorzystała z tej poglądowej lekcyi czystości i porządku, bo zniknęła już w głębi przyległego pokoju.

Pokój ten, który służył jednocześnie za jadalnię i salonik, a także i w nocy za sypialnię dla Józi – był dosyć obszerny. Ciasno w nim było jednak i duszno od mnóstwa przeróżnych gratów i gracików.

Przepełniały go krzesła i wyściełane fotele, stołeczki i tabureciki, szafki, stoliki i półki, dywaniki i różnego rodzaju i wielkości albumy, figurki gipsowe i porcelanowe i rozmaite „robótki" paciorkowe, szydełkowe, siatkowe i haftowane.

Na ścianach formalnie kawałka wolnego miejsca nie było, tak je zawieszono dywanikami o deseniach, przedstawiających jakieś apokaliptyczne zwierzęta i niebywałe kwiaty, fotografiami w wachlarzach, w ramkach i bez, kartkami widokowemi, chińskimi parasolikami, papierowymi kwiatami, reprodukcyami, po większej części z pism wydartemi, jakimiś oleodrukami, które nosiły podpisy: „Połów ryb", „Faust i Małgorzata", „Polowanie na jelenie", „Wieśniacy tyrolscy przy zabawie" i tym podobnymi.

Naczelne, jakby honorowe miejsce zajmowała ogromna, przepaścista kanapa, kryta jaskrawą materyą w tureckí deseń.

Nad kanapą tykał głośno, poważnie, piękny staroświecki zegar – jedyny w tym pokoju przedmiot, przedstawiający większą wartość artystyczną. Toteż nie harmonizował wcale ze swojem otoczeniem.

Wogóle całe to umeblowanie robiło wrażenie przypadkowej zbieraniny, tak jakoś jedne sprzęty nie były dostosowane do drugich.

Jeden fotel kryty był zielonym rypsem, inny wytłaczanym czerwonym pluszem – jeszcze zaś inny dość kosztowną jedwabną materyą, koloru „starego złota".

Krzesła kłóciły się pomiędzy sobą kształtem, jakością drzewa i barwą. Chińsko-japoński parasolik ocieniał reprodukcyę „Hołdu pruskiego". Oleodruk, przedstawiający jakichś międzynarodowych myśliwych w krótkich spodniach i czerwonych czapkach – w pogoni za jeleniem, wisiał obok portretu Kościuszki. Portret był zresztą najlichszy, jaki sobie wyobrazić można. Porcelanowe, dosyć wdzięczne figurynki rokokowych pasterzy i pasterek ustawiono razem z kotkami, pieskami i barankami z cukru.

Wszystko to zaś razem miało wygląd czegoś spłowiałego, wyblakłego, sztywnego, jakby zasuszonego. Małą nutą świeżości wplatały się w tą niegustowną całość – tylko śnieżnobiałe firanki u okien i wazoniki z zielonemi, kwitnącemi roślinami.

Na jednym z foteli leżał wygodnie duży, czarny kot i leniwie spoglądał zielonemi, przymrużonemi ślepkami.

Józia usiadła w fotelu, wzięła kota na kolana i zaczęła gładzić puszyste futerko zwierzęcia. Kot wyginał grzbiet, mruczał z zadowoleniem i zgrabną swoją główkę ocierał o suknię dziewczyny.

Baczny obserwator mógłby spostrzedz, że pomiędzy pieszczotliwem, łaszącem się, ładnem zwierzęciem i pochyloną nad niem dziewczyną istnieje jakieś podobieństwo.

Może polega ono tylko na tem, że Józia ma tak milutko zaokrągloną „kocią" bródkę i taki kształtny, krótki, o ruchliwych nozdrzach, nosek, albo też może jest coś w jej wyrazie twarzy i ruchach, co przypomina aksamitną, przymilną, pieszczotliwą koteczkę, która jednakże w każdej chwili gotowa jest wykonać niespodziewany skok lub nawet do krwi zadrapać.

Rumieńce ożywienia i wesołe błyski oczu, jakie Józia przyniosła do domu, przygasły teraz, a świeże i śliczne, jak kielich pysznego purpurowego kwiatu, usta wydęły się gniewnie, czy niecierpliwie.

– Cóż to? Panna w złym humorze wraca do domu? – zapytała panna Antonina, prostując swoją chudą postać w sukni w wielkie szkockie kraty. Suknia była bardzo obcisła i przez to uwydatniała kościste kształty, zapadłą pierś i szpiczaste ramiona starej panny.

– Odezwać się nawet nie raczysz? Cóż to znowu za fochy?

– Cóż ciocia chce żebym mówiła? – rzuciła Józia i spokojnie dalej głaskała kota.

– To ciekawe, odkąd tyś się taka milcząca zrobiła, bo zwykle terkoczesz jak młyn.

– Jak mnie ciocia zaraz na wstępie tak mile przywita, to i od mówienia ochota odchodzi.

– Proszę! To już żadnej uwagi zrobić nie wolno! Tobie zamało zwracano uwagi i w tem właśnie cała bieda.

– Już tam takie uwagi to najwięcej pomogą! – mruknęła niewyraźnie siostrzenica.

– Co tam mruczysz? – spytała ciotka, podejmując z kanapy porzuconą przed chwilą włóczkową robotę na drutach.

– E! Nic...

– Jakto nic? Przecież słyszałam, że coś mówiłaś... Zawsze pełna tajemnic, zawsze skryta!...

Józia podniosła na ciotkę ze zdziwieniem oczy i uśmiechnęła się.

– Co też ciocia mówi... Ja jestem skryta?

Panna Korzewska już sama spostrzegła się, że powiedziała niedorzeczność, bo zwykle zarzucała siostrzenicy zbytnią, nierozsądną często, dziecinną szczerość i twierdziła, że „ta narwana Józka toby swój grzech śmiertelny wszystkim wypaplała".

To też, nie podejmując tej kwestyi, rzuciła nowe zapytanie:

– Gdzieżeś ty siedziała do tego czasu?

– Przecież jeszcze nie jest tak późno. Dopiero siódma godzina.

– A tybyś może chciała o dwunastej w nocy wracać do domu?... O! Moja panienko, u mnie tak nie można!... Jak Kazia była u mnie, to z nią żadnego kłopotu nie miałam. Nie zachciewało się jej wychodzić wieczorem samej...

– Kazia, to dzieciak jeszcze, a ja jestem dorosła...

– No, jak ty byłaś w wieku Kazi – ciągnęła dalej ciotka, pilnie poruszając drutami – to już niejedna z tobą była awantura. Zresztą dorosła panna tem więcej o swoją opinię dbać powinna. Ale może mi nareszcie powiesz, gdzieś była... Czy to tajemnica?

Ciemne, subtelnymi łukami narysowane brwi Józi ściągnęły się, tworząc na białem czole cieniutką, ledwie dostrzegalną fałdkę. Jasne oczy błysnęły zniecierpliwieniem.

– Oj! Niechże ciocia nie nudzi. Skądże znowu tajemnica! Byłam u Rogoziewiczów i koniec.

– Tak? A po co ty tam ciągle chodzisz? Lepiejbyś haftowała ornat do kościoła, który zaczęłaś. Już ksiądz proboszcz o niego pytał...

– Przedewszystkiem, wcale nie ciągle chodzę! – odpowiedziała Józia, pomijając milczeniem wzmiankę o ornacie dla księdza proboszcza – Ostatni raz byłam tam cztery dni temu. Powtóre, dlaczego miałabym do Rogoziewiczów nie chodzić, kiedy mi to przyjemność sprawia, a nikomu nic nie szkodzi.

Druty w kościstych, żółtawych palcach panny Antoniny zaczęły się szybciej poruszać.

– Hm... no tak... ale trzeba także zważać na to, co ludzie powiedzą.

– A cóżby mieli do powiedzenia o tem, że ja się trochę pobawię, pośmieję z rozkosznymi dzieciakami, pogadam z Rogoziewiczem i pożartuję z panią Kornelią. W tem chyba niema nic złego.

Panna Antonina utkwiła bardzo pilnie swoje szaro-niebieskie wyblakłe oczy w popielatą przędzę robionego na drutach szalika i dopiero po chwili powiedziała, nie patrząc na siostrzenicę:

– To się tobie tak zdaje. A tymczasem ludzie inaczej myślą. Już całe miasto mówi o tem, że ty z Rogoziewiczem... że Rogoziewicz w tobie... Rozumiesz? I wszyscy są oburzeni...

– Co?!

Józia tak się zdumiała, że zerwała się z fotelu i zepchnęła ze swoich kolan kota, który z głośnem miauknięciem skrył się pod kanapę.

– Co?! Co ciocia mówi?!... To ja niby mam bałamucić Rogoziewicza, a on się we mnie kochać?... Nie! Wiecie, moi państwo, że to jest nadzwyczajne, paradne!...

I nagle zaczęła się śmiać szczerym, młodzieńczym, zanoszącym się śmiechem.

– Nie! Doprawdy, to można zachorować, to można pęknąć ze śmiechu!... Coś takiego! Ha! ha! ha!

Panna Antonina surowo spojrzała na śmiejącą się dziewczynę.

– Nie masz się czego tak śmiać. To bardzo smutne, że takie wieści krążą! Nie trzeba dawać pozorów...

– A cóż ja temu jestem winna, że tutejsze plotkarki w braku lepszego zajęcia wymyślają takie brednie niedorzeczne!... Żeby nie zostawić w spokoju chorego kaleki i mnie posądzać, że bałamucę czterdziestoletniego, żonatego człowieka, który ma troje dzieci!... No, cociu, czy ciocia się także nie śmieje?...

Ale ciotka nie śmiała się bynajmniej. Ręce z robotą opuściła na kolana i zaczęła dobitnym głosem:

– Moja kochana, ja nie jestem roztrzepaną, lekkomyślną kozą, żebym się śmiała bez po-

wodu... Przedewszystkiem mężczyźnie żadnemu nie można ufać...

Józia miała już na końcu języka swawolne zapytanie: „A to ciocia o tem tak dobrze się przekonała?", ale powstrzymała się w porę.

— ...a ty — ciągnęła dalej stara panna — musisz być więcej ostrożną, niż każda inna panienka, bo twoja opinia jest porządnie nadszarpnięta. Czy sądzisz, że wieści o twoich ekstrawagancyach nie dotarły aż tutaj?... Tylko staraniom ojca zawdzięczasz, że wiadomość o twojej romantycznej ucieczce z Zalesinek nie dostała się do gazet...

Cienkie nozdrza Józi zaczęły szybko drgać, oczy jej pociemniały gniewem...

— Ciociu! Niech mi ciocia tak nie dokucza, bo...

— No, bo co? — wykrzyknęła panna Korzewska — Uciekniesz może znowu?! O! Ja wiem, że to u ciebie nietrudno!... Przecież trzynaście lat dopiero miałaś, kiedyś już odemnie uciekła piechotą w deszcz!... Tylko ciekawam, gdziebyś teraz poszła?... Do domu pani Walczakowej zamknęłaś sobie drogę, ojciec cię nie przyjmie.

— Jestem młoda, zdrowa! Mogę na siebie zapracować!...

— Tylko ciekawam, jak? Czyś ty się czego porządnie nauczyła? Przecież ty nawet tej swojej szkoły nie skończyłaś? Tobie właśnie nauka była w głowie!

Józia spuściła głowę. Na jej twarzy ruchliwej, zmiennej, migotliwej, jak fala morska w słońcu, odmalowała się silna przykrość. Widocznie najmocniej odczuła ten zarzut, który sama uważała za słuszny.

Opuścił ją gniew, złagodniała, usiadła przy stole i spokojnie, cichym głosem rzekła:

— Dopóki byłam głupim dzieciakiem, nie rozumiałam. Ale później pragnęłam bardzo nauczyć się czegoś praktycznego... Prosiłam ojca, żeby mi pozwolił zapisać się na kurs sztuki stosowanej... Wiem przecież, że mam w tym kierunku zdolności... Nie pozwolił, nie dał pieniędzy! Chciałam później uczyć się ogrodnictwa... To samo!

— Racyę miał, bo i takby nic z tego nie było!... Tybyś w jakiej robocie wytrwała... A zresztą może cię miał puścić w świat samą, bez opieki, z twojem usposobieniem... No, toby dopiero coś dobrego z tego wyszło! Zamąż powinnaś iść, ot, co!...

— Jak przyjdzie czas, to pójdę. Mam dopiero dziewiętnaście lat.

— Już powinnaś być mężatką!... Miałaś przecie sposobność!... Tego profesora z Krakowa nie chciałaś, zaręczyłaś się z innym... No i co? Uciekłaś na dwa tygodnie przed ślubem!

Dziewczyna podniosła nagle ręce do czoła, jakby tam ból jakiś uczuła.

— Ciociu, ciociu... Niech ciocia o tem nie mówi...

— Cóż to, przepisy mi będziesz robiła, o czem mi wolno mówić... Aha! Ja wiem — ty liczysz na tego twojego niby narzeczonego, dla którego się skompromitowałaś... O licz, licz, doczekasz się go!... Dużo on się o ciebie troszczy... Ledwie co jakiś czas list napisać raczy...

Usta Józi skrzywił nagły, przykry skurcz... Zatrzepotały się długie, jedwabiste rzęsy i zabłysło na nich srebro łez.

— Oj, ciociu, ciociu!... — szepnęła dziewczyna żałosnym tonem skrzywdzonego dziecka — Proszę... Proszę... Niech ciocia przestanie...

Panna Antonina zmieszała się i zrobiła niewyraźną, stropioną minę. Nie miała ona złego serca i nie zamierzała rozmyślnie dokuczyć siostrzenicy, tylko zgryźliwe zrzędzenie tak się z nią zrosło, że nie mogła się powstrzymać, choćby nawet chciała.

— Eh! Bo ty zawsze jesteś w gorącej wodzie kąpana... Wszystko przesadzasz i zanadto do serca bierzesz... Jeżeli cię przestrzegam, to tylko jako starsza, życzliwa ci krewna...

Józia nic nie odpowiedziała. Przechyliła głowę w tył i z jakiemś tępem zamyśleniem spoglądała przed siebie. Żółtawe światło lampy padało wprost na jej wiośnianą twarz, która w przeciągu ostatnich kilku miesięcy przybladła, zeszczuplała, spoważniała.

Nie zaszkodziło to bynajmniej urodzie Maliniewiczówny. Przeciwnie, delikatny, miękko zarysowany owal zyskał na szlachetności linii. Turkusowe, rusałczane oczy, w których teraz rzadziej zapalały się figlarne ogniki i śmiały się swawolne, zalotne chochliki, czarowały spojrzeniem, pełnem tęsknej, melancholijnej zadumy i zdobyły głąb, dawniej im nieznaną.

Cała twarz nabrała przez to więcej interesującego wyrazu i jeszcze silniej akcentował się właściwy Józi typ piękności „drażniącej."

Panna Antonina, obserwując w tej chwili siostrzenicę, spostrzegła nagle, że dziewczyna jakoś bardzo blado, przejrzyście i smutnie wygląda.

Zauważyła na jej skroni delikatną sieć niebieskich żyłek i skonstatowała, że w pobladłej twarzy tylko usta, kolorytem i kształtem podobne do płatków szkarłatnej róży, płoną gorącą barwą.

— Może ona chora, tylko o tem nie mówi. — pomyślała panna Antonina — a może za mało je... Ja jej przecież nie żałuję, tylko o wszystko teraz tak trudno i takie drogie... A Maliniewicz płaci bardzo mało... To ledwie starczy na utrzymanie dziewczyny...

Coś się tam poruszyło w oschłem, zgorzkniałem sercu starej panny... Może ten czar nieuchwytny a przemożny, jaki wiał od Józi, i na nią podziałał.

Zrobiło się jej żal siostrzenicy i zapragnęła okazać jej troskliwość, naturalnie po swojemu.

— Możebyś ty co zjadła? Pewnie głodna jesteś? Kupiłam dzisiaj na targu bardzo ładne masło, chociaż za bezczelną cenę... Te baby wiejskie zupełnie powaryowały... I sera trochę mam... A może wolisz dwa jajka na miękko... Chcesz?

Józia drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

— Dziękuję cioci! — odpowiedziała już bez śladu gniewu i poprzedniego rozdrażnienia w głosie — Mnie wszystko jedno, co zjem. Nie jestem nawet jeszcze głodna. Ale ciocia pewnie chce już jeść kolacyę. W tej chwili zagotuję herbatę.

— Nie, nie! Siedź ty sobie tutaj!... Już ja sama wszystko przygotuję. Tybyś jeszcze coś stłukła albo wylała.

Panna Antonina złożyła starannie swoją robotę do przeznaczonego na ten cel koszyczka i wyszła do małej kuchenki. Stałej służącej, przy swoich skromnych materyalnych środkach, trzymać sobie nie mogła.

Józia wzięła do ręki leżący na stoliku „Kuryer" i zaczęła czytać. Znać było jednak po niej, że w tej chwili, to, co czyta, mało ją interesuje, że jej myśli błądzą gdzieś daleko i bynajmniej nie obracają się koło rewolucyi rosyjskiej, ani też wkoło braków aprowizacyjnych.

Te kilka miesięcy, które Józia spędziła u ciotki, były jednym szeregiem starć, kłótni, nieporozumień.

Panna Antonina nie była w gruncie rzeczy zła, ale miała usposobienie zrzędne, dokuczliwe, była zgorzkniała i opryskliwa, lubiła zanadto plotki i ploteczki, a przedewszystkiem zupełnie nie zrozumiała Józi. Posiadała przytem bardzo mało taktu i zwykła była poruszać kwestye bolące i drażliwe w sposób jak najmniej stosowny, jak najbardziej niedelikatny.

Józia ze swojej strony drażniła ciotkę uporem, hardemi odpowiedziami, lekceważącymi uśmiechami i budziła w niej oburzenie śmiałymi, a zawsze niespodzianymi wybrykami. I także nie zadawała sobie trudu, ażeby się wmyśleć w charakter ciotki i stworzyć jakieś znośniejsze pożycie.

Wogóle zachowanie się tych dwóch kobiet względem siebie było tego rodzaju, że sobie nawzajem — wbrew zresztą własnym chęciom — zatruwały życie.

Gdyby Józia zastanawiała się kiedy nad przeszłością ciotki, gdyby znała jej młodość smutną, szarą, bezkwietną, bezbarwną, byłaby może dla niej łagodniejszą i pobłażliwszą.

Gdyby wiedziała, ile przecierpieć upokorzeń, ile znosić cudzych kaprysów, ile goryczy wchłonąć w siebie musiała biedna, nieprzygotowana do samodzielnej pracy sierota, pełniąca przy chorowitej, zgryźliwej i despotycznej krewnej obowiązki towarzyszki, lektorki, pielęgniarki, a nawet garderobianej.

Gdyby domyśleć się mogła, jak marnie ginęły, mijały jeden za drugim dni młodości panny Antoniny, niekraszone żadnym powabem życia, nierozjaśnione żadnym promieniem słońca.

Jak gorzkniał i zaostrzał się trochę szorstki z natury, ale zacny charakter, w miarę tego, jak więdła twarz, oczy traciły blask, a cała postać stawała się kościstą i ostrokanciastą.

Wielką urodą nie odznaczała się panna Korzewska nigdy, kiedy jednak miała lat dwadzieścia, była sobie dość przystojną, świeżą dziewczyną. Tylko że to trwało tak krótko i tak szybko minęło bezpowrotnie.

Nikt nie wiedział, czy w życiu swojem nie marzyła o miłości. Nigdy o tem nie mówiła, a nikt też nie słyszał, żeby miała jakiego konkurenta, czy wielbiciela.

Gdzieżby się zresztą poznać z kim mogła. Chora krewna nie lubiła obcego towarzystwa, a do mężczyzn, zwłaszcza młodych, czuła poprostu antypatyę.

Kiedy wreszcie chorująca dużo, dużo lat dama umarła, zapisała swojej nieodstępnej towarzyszce niewielki kapitalik.

Ale panna Antonina miała już zwichnięte życie. Była wtedy już zdziwaczałą, rozgoryczoną, gderliwą starą panną — suchą i chudą, o przedwcześnie pożółkłej cerze, z wypłowiałemi oczyma, z przerzedzonymi, zrudziałymi włosami i zaostrzonemi liniami nosa i brody.

Józia, odkąd sięgnęła pamięcią w przeszłość, pamiętała ją już jako brzydką, starą, nieznośną „cioturęʺ, mającą zawsze na podorędziu groźne spojrzenie i ostre słowo.

W rozmowie ze swoją przyjaciółką, Anielką Walczakową, powiedziała pewnego razu o ciotce: „Kiedy tylko coś zbroiłam, to ona wyrastała zawsze jak z pod ziemi, żeby mi dać burę".

Jakiś czas panna Antonina zajmowała się gospodarstwem Maliniewicza, ale, że nie mogła jakoś pogodzić się ze swoim ciotecznym bratem i wolała na różne jego postępki nie patrzyć, więc wyjechała wkrótce i zamieszkała w tem cichem, czystem, małem mieście.

Ilekroć jednak radca Maliniewicz wyjeżdżał na dłuższy czas, panna Antonina bawiła w jego domu dla opieki nad dziewczętami.

Każdy taki pobyt złączony był dla Józi ze wspomnieniem ustawicznych ostrych napomnień, surowych kar i strumieni wylanych łez. Ciotka zupełnie nie umiała postępować z żywą jak iskra, swawolną jak chochlik, ale bardzo wrażliwą i wybitnie uczuciową dziewczynką.

Ostatecznie kończyło się na tem, że Józia robiła swoje, z pod kar się wyłamywała, wszelkie uwagi lekceważyła, a natomiast w młodziutkiem jej sercu podsycało się i potęgowało uczucie niechęci dla ciotki.

Zaś znowu panna Antonina nie mogła zapomnieć i darować Józi figla, jakiego, jedenastoletnia podówczas dziewczynka, dopuściła się za podszeptem koleżanek, a może i służących.

Pewnego razu wypadło pannie Antoninie obchodzić w domu Maliniewicza swoje imieniny. Młodsza córeczka radcy, Kazia, ubrana w białą sukienkę, gładziutko uczesana, podała ciotce „powinszowanie", związane różową wstążką i wygłosiła grzecznie, gładko a monotonnie swoje wierszowane życzenia.

Natomiast Józia wręczyła solenizantce własnoręczny rysunek, który przedstawiał dość zręcznie naszkicowaną długą, cienką postać kobiecą, wyciągającą pośród drzew ręce do okrągłego, jak jabłko, księżyca.

Jako stosowną illustracyę do tego swojego dzieła, wygłosiła swawolna siostrzenica następujący wierszyk:

„Ach! W noc taką
Być tylko we dwoje!
A ja w tej ciszy
Tak samotna stoję,
A na mej głowie
Ten wianek dziewiczy
Od ilu wiosen?
Niechaj nikt nie liczy!"

To niezwykłe powinszowanie musiała Józia ciężko odpokutować, ale surowa kara, jaka na nią spadła, nie zgładziła wrażenia jej postępku. Ostry kolec pozostał w sercu panny Antoniny na długo.

Wprawdzie dziewczynka nie rozumiała treści podsuniętego jej wierszyka, jak też nie miała pojęcia, ile było okrucieństwa w jej dziecinnym żarcie, ciotka jednak od tego czasu powzięła do niej nieprzezwyciężone uprzedzenie i nie nazywała jej inaczej jak „narwaną, postrzeloną waryatką", albo „hardą, krnąbrną, bez serca dziewczyną".

Nic też dziwnego, że obecny stosunek Józi do ciotki pozostawiał tak dużo do życzenia.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Panna Antonina zastawiła na stole, przykrytym kolorową serwetą, skromną kolacyę: chleb, trochę masła, kawałek sera, herbatę i dla Józi dwa jajka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wojna w powietrzu.

W wojnie obecnej, która zmobilizowała na swój użytek wszystkie zdobycze wiedzy i wynalazki, ogromną rolę we wszystkich armiach odgrywają aeroplany. Służą one nie tylko do wywiadów i rekognoskowania nieprzyjacielskich pozycyi, ale tworzą powietrzne eskadry, walczące skutecznie z nieprzyjacielem. W powietrzu rozgrywają się formalne bitwy pomiędzy lotnikami, którzy — zawieszeni w przestworzach — muszą stawić czoło nie tylko powietrznym przeciwnikom, ale i armatom, ziejącym z ziemi gradem pocisków. Barwny opis takiej walki na froncie włoskim zamieszcza korespondent berlińskiego „Tagu":

Było to na pozycyi bateryi, przeznaczonej do walki z lotnikami — zaczyna korespondent swe interesujące opowiadanie. — Żołnierze, opuściwszy swe armaty odpoczywali w ziemiankach. Tylko obserwatorzy pracowali pilnie przy lunetach.

„Nieuport na widnokręgu!" zameldowano wreszcie. Komendant bateryi wydał rozkaz, na który w odpowiedzi zabrzmiało hasło trąbki. Biegiem wypadli kanonierzy z ziemianek i w momencie znaleźli się przy swoich armatach.

„14, 13, 11, 9" odczytuje obserwator na mierniczym instrumencie. Daleko na zachodnim horyzoncie pojawiła się mała, jasno szara kreseczka, która wygląda jak ważka z rozpostartemi skrzydłami, unosząca się bez ruchu nad friulską niziną. Chwilę tak trwa, potem wznosi się powoli, staje się szerszą i ciemniejszą.

„8, 7, 6," melduje mierniczy. Grubiejąca coraz bardziej linia rozdwaja się wreszcie na dwie nad sobą położone. „Nieuport" w towarzystwie „Caproniego"... zauważa komendant bateryi. Lornetką można teraz rozpoznać dokładnie dwa aparaty, z których jeden płynie wyżej i bliżej i dlatego wydaje się tej samej wielkości co drugi, lecący niżej i dalej; oba są dwupłatowce. W delikatne brzęczenie „Nieuporta" miesza się coraz silniej trzask „Caproniego", największego włoskiego aeroplanu, którego trzy motory pozwalają mu rozwinąć wielką szybkość. Dzięki dużej rozpiętości skrzydeł może on unieść 5000 kilogramów bomb. Pod opieką małych aparatów bojowych, „Caproni" obserwuje, fotografuje i bombarduje, kierowany przez trzech ludzi.

Nieprzyjaciel zbliża się coraz bardziej, rośnie groźnie i wiemy już, że będzie usiłował ponad nas się dostać. „65, 48, 3, 2, ognia!" komenderuje szef bateryi. Rozkaz przebiega wzdłuż bateryi i równocześnie prawie sześć strzałów rozdziera powietrze. Groźnie szybko mkną ku nam lotnicy, mały ciągle ponad dużym. Obserwatorzy patrzą i mierzą, jeden z oficerów liczy sekundy, komendant bateryi obserwuje przez lornetkę, kanonierzy wyprostowani czekają przy armatach. Długa pauza! Białe, dwukolorowe obłoczki wykwitają nagle na niebie, otaczając duży aparat dookoła. Zwraca on się na lewo i zaczyna się wznosić. Jego mały towarzysz robi wielki łuk i też kieruje się na lewo. Nowe rozkazy padają, inny kierunek, zmiana ładunku, inna odległość. Błysk i huk, nowe obłoczki wykwitają tuż przy aparacie. Rozpoczyna się walka. Rozkazy, sygnały trąbki, huk wystrzałów, świst kul, wybuchy mieszają się ze sobą i przeganiają, a na niebie wieniec obłoczków zacieśnia się coraz bardziej — coraz bliżej.

„Jeszcze dwa strzały", krzyczy komendant — tak blisko trafiły ostatnie. Równo z rozkazem wybuchają strzały, kanonierzy sami uważnie pilnują ptaka, na którego polują. Nagle obłoczki wykwitają tuż i ptak spada, błyskawicznie osuwając się ku ziemi.

„Trafiony!" Jakby popchnięty tem słowem nieprzyjacielski aparat wyprostowuje się, chwilę waha się jeszcze w powietrzu, a potem, błysnąwszy w świetle słońca barwami swych skrzydeł, pospiesznie zawraca na prawo. — W niecałe dwadzieścia sekund gonią go już nowe szrapnele.

„Granaty pięć na prawo!", brzmi rozkaz. Czarne słupy dymu wybuchają wśród białych obłoczków szrapneli. „Caproni" chwieje się po raz drugi, zawraca zupełnie, podnosi ster tyłowy ku górze i szybko opada. Ścigają go coraz gęściej wybuchające czarne dymy.

Równocześnie prawie nad naszemi głowami rozlega się huk motoru. To austryaccy lotnicy pędzą na pomoc. „Nieuport", który dotychczas z wysoka spokojnie przyglądał się walce, zawraca pospiesznie i ucieka.



Wojna w powietrzu: Zestrzelony przez austryackie baterye ochronne jeden z największych powietrznych statków włoskich, systemu Caproniego.

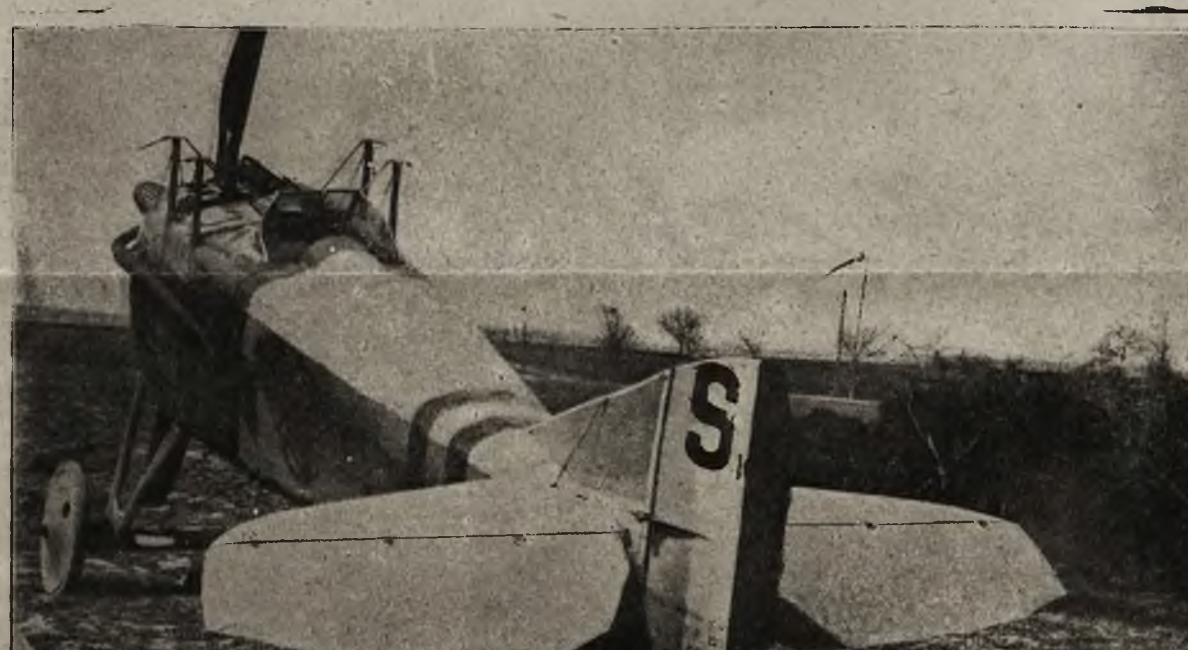


Wojna w powietrzu: Angielski dwupłatowiec zestrzelony na Zachodnim froncie

Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie.

W dniu 10. bieżącego miesiąca odbyła się uroczystość otwarcia przystani wioślarskiej akademickiego Związku sportowego (w Dębnikach, obok willi Lasockich). Uroczystość odbyła się przy licznym udziale członków i gości, którzy, mimo chwilowego deszczu, przybyli na uroczystość. Zebranych gości powitał prezes Związku, p. Göttel, podnosząc, że sekcya wioślarska pragnie na nowo rozpocząć działalność utrudnioną i przerwaną wypadkami wojennymi. P. Göttel poświęcił w końcu żałobne wspomnienie poległym w czasie wojny członkom sekcyi wioślarskiej.

Przemawiali następnie: rektor Smoluchowski



Wojna w powietrzu: Zdobyty przez Niemców aeroplan francuski.





Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie: Uroczystość otwarcia przystani akademickiego Związku sportowego. Pierwsza wycieczka na Bielany.

imieniem senatu akademickiego, inżynier Bobkowski imieniem sekcyi wioślarskiej „Sokoła“, major Łobaczewski imieniem wojskowości, p. Rudnicki imieniem krakowskiego Klubu cyklistów, wreszcie profesor Bujwid.

Następnie odbył się symboliczny chrzest czterech nowych łodzi, sprawionych kosztem członków. Ojcami chrzestnymi byli: rektor Smoluchowski, inżynier Bobkowski, profesor Bujwid, wreszcie zasłużony członek sekcyi, p. Stanisław Rudy. Po dokonaniu wspólnej fotografii, wyjechało 11 łodzi na wycieczkę do Bielan. Kilkoma łodziami kierowały wioślarki.

Praca przemysłowa kobiet polskich.

Skupiając się dla planowej pracy około podniesienia przemysłu, zawiązały panie krakowskie w roku 1916 Towarzystwo popierania przemysłu kobiecego, które zaznaczyło już pracę swą w różnych kierunkach. Poparte materyalnie przez Komitet Książęco-Biskupi, uzyskało Towarzystwo życzliwą opiekę i pomoc Patronatu dla rękodzieł przy Wydziale krajowym, rozdzielając pracę szybko powstających sekcyi między niewielką liczbę pań z wydziału wraz z przewodniczącą.



Praca przemysłowa kobiet polskich: W pracowni obuwia Tow. popierania przemysłu kobiecego.

Z sekcyi Towarzystwa wymienić trzeba pracownię taniego obuwia, zatrudniającą blisko pięćdziesiąt robotnic, przygotowanych do pracy na specyalnych kursach szewskich, urządzanych przez Patronat dla rękodzieł. W ciągu dziesięciu miesięcy egzystencyi wyrobiono w pracowni około 10.000 par trzewików, łącznej wartości 124 491 koron, które w znacznej części przez Komitety opiekuńcze zakupione zostały dla zaopatrzenia sierót, ewakuowanych i ubogiej ludności. Pracownia przyczyniła się kilkakrotnie do utworzenia warsztatów szewskich na prowincyi przez wyuczenie u siebie przysłanych na naukę robotnic.

Sekcya trykotarska rozpoczęła swą pracę od przeprowadzenia kursu trykotarstwa z pomocą Patronatu na ośmiu maszynach narazie; wkrótce przybędzie do nich dwanaście innych, dostarczonych z Centrali dla odbudowy kraju. Część tych maszyn ma stale służyć do urządzania kursów na prowincyi, gdy tymczasem inne czynne będą w pracowni trykotarskiej, która rozwinąć się ma i przekształcić na towarzystwo akcyjne, oparte na udziałach.

Towarzystwo, mając na względzie zniszczone w kraju kościoły i pragnąc handel artykułami religijnymi odebrać z rąk obcych, mianowicie innowierców, przystępuje do zawiązania Spółki dla rozwoju i popierania sztuki kościelnej i artykułów religijnych. Zaczynając od rzeczy najdrobniejszych, rozpoczęła już prace Sekcya wyrobu różańców i szkaplerzy.

W zawiązku będąca Sekcya zabawek etnogra-



Rewia śpiewacka: Uczenice i uczniowie szkoły śpiewu prof. Bursy (X).

ficznych z drzewa bardzo się dobrze zapowiada i gdyby nie trudności w dostaniu płyt drzewnych, wyrób byłby się już znacznie rozwinął, bo modele typów ludowych, malowane przez artystkę malarkę, przedstawiają już ładną kolekcyę.

Zatrudniając coraz to większą liczbę robotnic, Towarzystwo stara się o rozwój umysłowy i kulturalny. Sekcya opieki nad robotnicami pracowni Towarzystwa obejmuje dział oświatowy i wychowawczy; praca dokonywuje się zapomocą urządzania niedzielnych pogadanek, obchodów, zwiedzania muzeów, zachęty do korzystania z wypożyczalni książek i czasopism. W celu popierania działalności przemysłów kobiet i postawienia jej na wyższym poziomie, Towarzystwo zbiera informacye statystyczne o pracy kobiet w przemyśle; wysłało szereg petycyi do władz dla podniesienia poziomu żeńskiego wykształcenia zawodowego; urządza kursy zawodowe, n. p. organizuje się kurs dla sekretarek stowarzyszeniowych. Biuro pośrednictwa pracy i sklep pod nazwą: „Komisowa sprzedaż wyrobów Towarzystwa Popierania Przemysłu Kobiecego“ (Szewska 2) ułatwiają działalność wytwórczyń.

Na ostatniem walnem zgromadzeniu zarząd Towarzystwa ukonstytuował się w następujący sposób: przewodnicząca, p. Wanda Steczkowska, zastępczyni, hr. Marya Wodzicka i p. Aleksandra Zuk Skarszewska; sekretarka, Ant Ambroziewiczowa, zastępczyni, p. Jadwiga Konopczyńska; skarbniczka, p. Helena Kozłowska, zastępczyni, p. Stanisławowa Kaczyńska. Nadto do Wydziału zostały wybrane panie: Kamila Chołoniewska, Zofia Cynkówna, Wincentyna Górska, Zofia Hankiewicz, Józefowa Kallenbachowa, Marya Mayerberg, Machczyńska, Paulina Paivi, Helena Radziejowska.



Wojna w powietrzu: Francuski aeroplan zmuszony przez niemieckich lotników do wylądowania.



Z frontów bojowych: Gruzy flandryjskiej wsi, zniszczonej kompletnie przez angielską artyleryę.

Rewia śpiewacka.

Szkoła śpiewu prof. St. Bursy, doświadczonego pedagoga-śpiewaka, którego wyborna metoda i sumienna praca wydobyła na światło dzienne kilka talentów i przysporzyła muzycznej kulturze polskiej wiele sił wykonawczych, odbyła w tych dniach generalną rewię swej całorocznej pracy. Był nią popis, który się odbył w sali „Sokoła“, natłoczonej po brzegi słuchaczami.

Przez estradę przewinęło się kilkanaście młodych, obiecujących talentów śpiewackich na rozmaitych stopniach swego rozwoju, od początkowej pracy nad materyałem — przedstawionych w celu skonstatowania w przyszłości postępów — aż do uczniów, przygotowanych już dostatecznie do zadań śpiewackich. Z pierwszej kategoryi dodatnio przedstawili się pp. Bednarska, Gizówna, Januszanka, Podczaski, Derechowski oraz znacznie zaawansowane w pracy nad techniką głosową panny Danuta Bursówna i M. Jasińska.

W drugiej kategoryi przedstawiły się, jako już dojrzewające do zadań artystycznych i zbierały oklaski p. M. Golińska, mezzosopran o ciemnej barwie, pp. M. Wędrychówna i Nowakówna, Tomaszewski oraz p. Miłosława Bursówna, sopran koloraturowy.

Popis uzupełnił nader liczny, karnie pod względem rytmiki oraz pełnym dźwiękiem dobranych głosów brzmiący, chór.

Oklaski, jakie zbierali uczniowie oraz uczenice prof. Bursy i wieniec, wręczony mu na estradzie, był zasłużoną nagrodą dla tego pedagoga śpiewaka, za jego rzetelną i owocną pracę.

Z frontów bojowych.

Na zachodnim froncie rozpętała się nowa zażarta bitwa, podjęta przez Anglików we Flandryi. Po udaremnionej jednej ofenzywie nad Sommą, po drugiej ofenzywie pod Arras, którą po chwilowym sukcesie angielskim Niemcy bezzwłocznie osadzili w miejscu, przychodzi w tym roku kolej na trzecią ofenzywę, na szeroką rozpoczętą skalę, jeszcze bardziej na północ, na terytoryum belgijskiem. Anglicy uderzają tym razem sami. Nie czekają na podjęcie ofenzywy przez Francuzów, którzy gotują się podobno do nowej bitwy. Nie czekają na amerykańskie posiłki. Skrócili tylko znacznie swój front, przesuwając swoje wojska atakowe ku północy, resztę dotychczasowego frontu od Douai aż ku La Fére powierzając do obrony Francuzom. Front angielski zredukował się tedy do długości stu kilometrów. A i tu jeszcze skupili masy ludzkie na przestrzeni jednej dziesiątej frontu zaledwie, na szerokości dziesięciu kilometrów zaledwie, rzucając aż dziesięć dywizyi piechoty do boju.

Przedmiotem ataku tym razem był łuk niemieckiego frontu, wyginający się dość głęboko w stronę zachodu, pomiędzy miastami Ypern i Armentieres,



Praca przemysłowa kobiet polskich: Zarząd Tow. popierania przemysłu kobiecego (panie: W. Steczkowska, A. Ambroziewiczowa, H. Kozłowska i M. Smyczyńska), dyr. Patronatu dla popierania przem. i rękodzieł dr. J. Schoennet i delegat K. B. K. Tadeusz Rząca.



Z życia „krakowskich dzieci" na froncie: „Kościuszko pod Racławicami" na scenie teatru polowego 16. p. p. obrony krajowej.

znajdującemi się w ręku angielskiem. Łuk ten, jak każda nierówność frontu, przedstawiał dość dogodne warunki do ataku nieprzyjacielskiego. Niemcy trzymali go wszakże silną ręką, od chwili ustalenia się flandryjskiego frontu aż dotąd, gdyż wypukłość ta pozwalała utrzymywać pod bezustannym ogniem drogi dojazdowe angielskie, koncentrujące się w Ypern i tym sposobem szkodzić Anglikom we wszelakim dowozie. W łuku tym, obiegającym miejscowości Wytschaete i Messines od zachodniej strony, pod



Opera w Krakowie: Kapelmistrz Zdzisław Birnbaum, dyr. Filharmonii warszawskiej

kopali się Anglicy oddawna już minami pod wzgórza, obsadzone przez stanowiska niemieckie. Podkopy były głębokie tak, że nie dosłyszały szmerów podziemnego rycia czujki niemieckie, rozmieszczone w pierwszych rowach. Pod pagórkami tymi wysadzili tedy Anglicy nagle trzydzieści min, pojemności potwornej. Podobno 600.000 kilogramów dynamitu i innych środków wybuchowych wywołało nagłą eksplozyę. Siła wstrząśnienia była taka, jak gdyby trzęsienie ziemi przeszło po tym terenie. Przestały istnieć całkowicie obie wsie, Wytschaete i Messines, które dawały dotąd ostoję niemieckiej linii bojowej.

W miejscu, w którem się wznosiły przedtem, rozwarły się czeluście ziemi, które bezzwłocznie obsadzili Anglicy, wdarłszy się podziemnemi sztolniami. Reszty pracy w pierwszych liniach niemieckich dokonały ciężkie działa, ziejące granatami. Straty niemieckie — przyznają komunikaty — były ciężkie. Poza temi pierwszemi stanowiskami, powstrzymały jednak napierającą dalej piechotę angielską dalsze stanowiska, przygotowane oddawna i gotowe do skutecznego odparcia nieprzyjaciela.

Od tych stanowisk niemieckich odbiły się tedy fale angielskiego natarcia. Niemcy przeszli do kontrataku w chwili, gdy idące do szturmu pułki, czy kompanie angielskie musiały się cofnąć ku swoim. Straty angielskie przy tych dalszych szturmach daremnych były podobno olbrzymie. Najskuteczniej powstrzymał angielski rozpęd flankujący ogień ciężkich dział niemieckich z pod Lille od południa, kierowany przez latawce i balony niemieckie, który przy każdym ponownym ruchu angielskim odzywa się bezzwłocznie. Na razie tedy materyalny efekt wielkiej bitwy angielskiej da się wyrazić jako zdobycie czterech kilometrów w głąb na rozpiętości dziesięciu kilometrów. Daje to ogółem około dwudziestu kilku kilometrów kwadratowych przestrzeni, okupionych kosztem zdziesiątkowanych dziesięciu dywizyi piechoty, nie licząc ogromnego nakładu środków technicznych. O przebiciu niemieckiego frontu w tem miejscu na razie niema mowy, podobnie, jak w tegorocznych ofenzywach angielskich poprzednich.

Jakiż mógł być cel strategiczny tych nowych wielkich operacyi angielskich? Niektórzy sądzą, że chodziło tu o atak, wymierzony na Lille, stanowiące ośrodek ruchów niemieckich tego odcinka. Silnie ufortyfikowany punkt ten chcieli Anglicy ubiedz nowym swoim atakiem. Zdaje się jednak, że bliższe są prawdy domysły, iż szeroko zamierzone operacye angielskie, poprzedzone tak znaczną koncentracyą wszystkich ich sil bojowych na kontynencie, miały przed sobą o wiele rozleglejsze pole. Chodziło ni mniej ni więcej, tylko o zniesienie skrajnego północnego niemieckiego skrzydła. Atak angielski przebić miał front niemiecki i dotrzeć najbliższą drogą do Brukseli i Antwerpii. Po zniesieniu zaś tego skrzydła niemieckiego frontu, miał tem samem wydrzeć z rąk niemieckich całe belgijskie wybrzeże od Nieuport aż do ujścia Skaldy i uniemożliwić działalność niemieckim łodziom podwodnym w kanale La Manche, niepokojącym połączenia pomiędzy Anglią a Francyą.



Opera w Krakowie: Kapelmistrz prof. B. Walek-Walewski



Z frontów bojowych: Ruiny kościoła w Athies we Flandryi. O zdobycie tej miejscowości toczyły się dłuższy czas zażarte walki

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

2

— Czy było w zwyczaju pana Lorain pozostawiać je otwarte dzień cały?

— W dzień niekiedy, ale nigdy w nocy.

— Niech pan to zapisze — zwrócił się prokurator do pisarza.

Wstąpiono w ogrodzenie. Kapitan żandarmeryi prowadził konia swojego za uzdę. Pan Dupont obejrzał ziemię dokładnie, ale ziemia, rozmiękła od deszczów, zachowała tylko świeże ślady stóp bydła i owiec. Beczka leżała na tem samem miejscu, na którem pozostawił ją pasterz rano. Na schodach kamiennych, prowadzących do domu, nie dostrzeżono żadnych śladów, ani znaków szczególnych.

— Zanim wejdziemy do domu — odezwał się prokurator — obejrzyjmy zabudowanie. Chodź z nami, Courtin, poinformujesz nas, jeżeli zauważysz jakąś zmianę, czy świeży nieporządek.

Przetrząśnięto więc stodoły, śpichlerz, stajnie i kurniki. Wszystko znajdowało się na swojem miejscu. Zapasy nie zostały w niczem naruszone, nie dostrzeżono żadnego śladu złodziejstwa. Potem nastąpił przegląd ostatniej stajni, gdzie leżały kości pożartych przez wilki zwierząt. Obecny lekarz długą chwilę badał porozrzucane kości szkieletów.

— Śmierć tych zwierząt nastąpić musiała już przed miesiącem — wyrzekł wkońcu.

— Objaśnienie to jest bardzo ważne — odparł prokurator z zajęciem — ale jak wytłumaczyć sobie te znaki, wyryte od wewnętrznej strony drzwi. Czyście je panowie zauważyli?

— Zapewne biedne zwierzęta, pozostawione bez pożywienia, usiłowały się tędy wydostać na wolność — objaśnił kapitan żandarmeryi.

— Nie widzę psów podwórzowych, ani drobiu — zauważył pasterz, podchodząc. — Kurniki są puste!

— Musiało się to rozbiedz po lasach — odparł kapitan. — O ile zaszło morderstwo w tym domu, sądzę, że nastąpić musiało w ciągu dnia, kiedy kurniki otwarte jeszcze były.

— Ma pan słuszność — odpowiedział pan Dupont. — A teraz chodźmy do domu, może tam odkryjemy, o co nam chodzi.

— Ale drzwi są od wewnątrz zamknięte — zauważył Marcin Courtin.

— Wiem o tem. Ale ponieważ nie mamy tutaj ślusarza, któryby nam te drzwi otworzył, ty Courtin, wyjdziesz raz jeszcze na beczkę, wybijesz szybę u okna i otworzysz je z łatwością.

Pasterz poszedł naprzód, drżąc całem ciałem, ale nagle zatrzymał się i zawołał zmienionym głosem:

— Niech mi pan wybaczy, panie prokuratorze, ale nie ośmielę się nigdy spojrzeć po raz drugi do środka. Widok tam jest straszny. Niech się pan sam przekona!

Pan Dupont przy pomocy pasterza wspiął się na beczkę i skierował wzrok swój do wnętrza mieszkania.

— To rzeczywiście straszny widok — szepnął, wstrząsając się ze wstrętem i z trudem chwytając powietrze.

— Do wszystkich dyabłów! — zaklął głośno, jak gdyby chciał tem wyrazić zdumienie swoje i przestrach.

— Idę pierwszy, panowie, a wy, proszę, idźcie za mną — rzekł prokurator, wchodząc do mieszkania w towarzystwie doktora.

Okrzyk grozy wybiegł ze wszystkich piersi. Trzy osoby, sztywne, nieruchome, siedziały przed stołem zastawionym. Piotr Lorain, wsparty o ścianę, z głową wyprostowaną, wspartą o róg kominka, zdawał się patrzeć na obecnych ciemnymi otworami nieistniejących już oczów. Pani Lorain siedziała przy mężu, z głową zwieszoną na jego ramieniu. Koronka, zakrywająca jej włosy, zsunęła się, aż do połowy twarzy, odsłaniając tylko usta, sinej, trupiej bladości. Dziecko zaś, znajdujące się naprzeciwko matki, leżało nawpół z rękami i głową opuszczonemi na stole.

— Wygląda to na zatrucie — szepnął pan Dupont do lekarza. — Nie wiemy tylko, czy mamy do czynienia z dobrowolnym wypadkiem, czy zbrodnią.

— Brak klucza w zamku przemawia za dobrowolnym wypadkiem — odparł doktor.

Uwaga lekarza była słuszna. Jeżeli Piotr Lorain dla niewiadomych powodów chciał popełnić samobójstwo wraz z całą rodziną, to on sam musiał drzwi na klucz zamknąć, a następnie klucz wyjąć. Ale gdzie ten klucz mógł się znajdować?

Prokurator stał zamyślony nad zwłokami, zastanawiając się nad tym problemem, kiedy kapitan podszedł do niego i dotknął jego ramienia.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony pan Dupont.

— Niech pan patrzy — odpowiedział kapitan. I ruchem ręki wskazywał podłogę pokoju.

Prokurator pochylił się nisko. Na posadzce, lekko sprószonej, widniały wyraźne znaki stóp. Wilgoć, wydobywająca się z zamkniętego przez dłuższy czas domu, zakonserwowała doskonale te znaki, z pośród których wyróżniał się dokładnie odcisk małej stopy, o podeszwie bez gwoździ, wąskiej, i drobnych obcasach, widocznie wysokich, bo pomiędzy podbiciem a nimi pozostała przestrzeń, zupełnie wolna od znaków. Stopy te nie były jednak stopami dziecka.

— Jest to ślad — rzekł kapitan — wykazujący, że w chwili śmierci rodziny Lorain, znajdowała się w pokoju osoba czwarta, obca. Kształt obuwia tłumaczy to dostatecznie. Niech pan prokurator zauważy, jaka różnica istnieje między odciskiem tej stopy, a stopami gospodarzy. Obuwie tych ostatnich jest płaskie, szerokie, nabite gwoździami.

— Rzeczywiście — szepnął zainteresowany prokurator. — Trzeba ślad ten dokładnie przenieść na papier.

— Zajmę się tem — odparł kapitan. — Oh, proszę! Stąd ciągnie się aż do drzwi.

— I co pan wnosi z tego? — zapytał pan Dupont.

— Zaraz panu odpowiem! Doktorze, proszę tu na chwilę!

Kiedy lekarz pospieszył na to wezwanie, kapitan wskazał mu dzbanek z piwem i cztery szklanki, znajdujące się na stole. Jedna ze szklanek była prawie nienaruszona.

— Wartoby się przekonać rzeczywiście, co to za płyn — rzekł doktor, który zrozumiał natychmiast zamiar kapitana.

Umaczał palec w płynie, z którego jedną kroplę opuścił na język.

— Szczególny smak — rzekł po chwili. — Piwo, najbardziej zwietrzałe, nie może mieć podobnego smaku.

Poczem ujął niewypróżnioną szklankę i czas jakiś ogrzewał ją w rękach, wąchając płyn w niej zawarty.

— Ależ to odkrycie! — zawołał wkońcu. — To „stramonium datura", roślina narkotyczna i trująca, zależnie od wielkości dozy pochłoniętej! Czy zachodziło tu otrucie natychmiastowe, lub też zwykłe uśpienie, po którem nastąpiło odrętwienie i niemoc zupełna? Pytanie było jeszcze trudne do rozwiązania. Jednakże obecność osoby obcej w mieszkaniu nie ulegała żadnej wątpliwości. Wskazywały to ślady, odkryte na podłodze i czwarta szklanka, znajdująca się na stole. Dotąd fakt jeden się wyłonił. Nie było to rozmyślne samobójstwo rodziny całej, lecz morderstwo... Nieznajomy jakiś musiał wejść do mieszkania, w chwili, kiedy rodzina Lorain zasiadała do stołu i gość ten w zręczny sposób wlał truciznę do dzbanka z piwem. Trzy szklanki próżne wskazywały, że Lorain wraz z żoną i dzieckiem użyli płynu.

Lekarz, wypowiadając głośno powyższe myśli, zajął się badaniem zwłok. Wspomnieliśmy już, że córeczka Piotra Lorain leżała wsparta ramionami i głową o stół. W tej pozycyi szyja dziecka odsłoniętą była zupełnie. Silne drżenie przebiegło lekarza, kiedy w pewnej chwili pochylił się nad główą dziecka. Na samym szczycie karku, pod włosami, w pośrodku obrzmienia, uwidaczniał się punkt czarny, jak gdyby kropla skrzepłej krwi.

— Co to może być? — szepnął doktor z zainteresowaniem.

Końcem paznogcia strzepnął skrzep czarny, z pod którego wystąpiło nieduże, trójkątne znamię.

— Ho, ho! — dodał — To coś ciekawego! Jak widzę, zbrodnia komplikuje się!

Poczem zwrócił się do policyanta:

— Podtrzymajcie te dwa ciała — rzekł, wskazując Piotra Lorain i jego żonę.

Policyant, przy pomocy żandarma, spiesznie wykonał rozkaz, podczas kiedy doktor, wyciągnąwszy z pudełka cienki lancet, zagłębił go w ramię.

Niepokój wszystkich wzrastał z każdą chwilą. Prokurator zaś gorączkowo śledził każdy ruch doktora, który po chwili przystąpił do zwłok Piotra Lorain i jego żony, na których odkrył te same trójkątne znaki, czerniejące na szyi.

— Co to ma znaczyć? — zapytał wkońcu prokurator, drżąc z zniecierpliwienia. — Co to jest?

— Teraz zdaję sobie już jasno sprawę z sytuacyi — odparł doktor. — Rodzina Lorain nie została otruta, lecz poprostu uśpiona zapomocą narkotyku, o którym już wspomniałem. Kiedy zaś stan ich doszedł do zupełnej nieświadomości, zostali zamordowani cienkim sztyletem, nadzwyczajnie ostrym, o ostrzu, zakończonem trójkątnie. Człowiek, który zadał tą ranę, był pewny swej ręki i zręczności. Śmierć była natychmiastowa i nie wywołała żadnego wypływu krwi na zewnątrz, oprócz tej jednej kropli, zakrzepłej na ranach. Przypuszczać można, że morderca po dokonaniu zbrodni zamknął, wychodząc, drzwi na klucz i klucz ten porzucił gdzieś po drodze.

— Jak dawno zbrodnia ta popełnioną być mogła? — zapytał prokurator.

— Mniejwięcej miesiąc temu. Brak lampy na stole wykazuje, że stało się to w dzień.

— Dziwne, dziwne! — wymówił prokurator, zamyślając się głęboko. — Ale jakiż mógł być powód do tak okropnej zbrodni?

— Może rabunek, albo...

— Co takiego? Co pan przypuszcza?

— Może powodem czynu była zemsta jakaś szatańska!

Prokurator skinął na pasterza, stojącego przy drzwiach.

— Czy Piotr Lorain miał nieprzyjaciół? Jak ci się zdaje, mój przyjacielu?

— O, nie! — odpowiedział Marcin Courtin. — Pan Lorain był człowiekiem sprawiedliwym i dobrym dla służby i biednych ludzi!

— Ach, prawda! — przypomniał sobie prokurator. — Mówiłeś, że oprócz ciebie była tu jeszcze służąca i parobek do koni.

— Tak, panie prokuratorze.

— Gdzież oni być mogą? Czyżby i z nimi stało się jakie nieszczęście?

W tej chwili kapitan, który udał się do kuchni, wybiegł z niej pomieszany, wołając zmienionym głosem:

— Ależ to przechodzi wszelkie pojęcie! Zobaczcie panowie! Ci biedacy tam w kuchni również zamordowani zostali!

Prokurator i lekarz wpadli do kuchni i ujrzeli tam ten sam widok, który uderzył ich w pierwszym pokoju, z tą różnicą tylko, że służąca, na którą widocznie narkotyk podziałał mniej silnie, miała jeszcze na tyle siły, aby powstać, lecz, podążając ku drzwiom, upadła, raniąc się ciężko w głowę.

— To doprawdy coś niewytłumaczonego — szepnął prokurator. — Człowiek, który popełnił te zbrodnie wszystkie, musiał być kierowanym celem jakimś niezwykłym i ważnym dla siebie. Musimy raz jeszcze dokładnie obejrzeć zwłoki, aby się przekonać, czy celem tym nie była kradzież, a potem dalsze przypuszczenia stawiać będziemy mogli.

Ta przykra czynność została wykonana przez żandarmów. Znaleziono przy Piotrze Lorain, duży woreczek skórzany, zawierający pięćdziesiąt kilka franków, a w kieszeni kamizelki zegarek złoty. Żona jego również posiadała kilkanaście franków przy sobie, a oprócz tego złote pierścionki i kolczyki, nienaruszone wcale.

Motyw grabieży musiał więc być wykluczony ze sprawy. Prokurator jednak upierał się dalej, ale, kiedy chciał wejść do drugiego pokoju, przylegającego do salki jadalnej, lekarz powstrzymał go za rękę.

— Cóż tam jeszcze? — żachnął się niecierpliwie pan Dupont.

— Zdaje mi się, że uczynimy lepiej, zwracając nasze poszukiwania w tamtą stronę.

— Dlaczego?

— Bo ślady stóp zatrzymują się przy stole, a przestrzeń, oddzielająca ten pokój od tamtego, nie nosi na sobie żadnych znaków podobnych.

— Ma pan słuszność — potwierdził prokurator. — Ale kto wie, czy morderca nie przedsięwziął jakich środków ostrożności? Obowiązkiem naszym jest nie zaniedbywać niczego i odkryć prawdę. Chodźmy tam, chodźmy! Nie mamy nic do stracenia!

Mówiąc to, pan Dupont wszedł do przyległego pokoju, kapitan, pisarz i Marcin Courtin postę-

powali za nim. Pokój ten był sypialnią małżonków Lorain. Gruba powłoka kurzu pokrywała sprzęty i meble, ale nigdzie nie dostrzeżono odcisków palców lub stóp. Do tego pokoju zbrodniarz wejść nie mógł. Szafy i szuflady biurka zamknięte nie były. Kiedy prokurator wysunął jedną ze szuflad, uderzył go widok pudełka, pełnego złotych monet, obok którego leżała w porządku większa ilość banknotów, losów i papierów wartościowych. W drugiej zaś, mniejszej szufladzie, złożone były kosztowności pani Lorain. Pozatem w komodach i szafach, pełnych ubrań, panował wzorowy porządek.

Nie wiedząc, co myśleć o tem wszystkiem, prokurator, coraz bardziej zdenerwowany i rozgorączkowany, powrócił do jadalni i zapytał doktora:

— Czy uważa pan, iż zachodzi potrzeba sekcyonowania zwłok?

— Nie sądzę. Moje przewidywania byłyby potwierdzone. Ażeby zaś wypełnić raport, który złożę, muszę zabrać szklankę z zawartym w niej płynem i zrobić rozbiór chemiczny.

— A więc nie mamy już tu na razie nic więcej do czynienia — zadecydował pan Dupont. — Dwóch żandarmów i pasterz pozostaną na folwarku aż do chwili pogrzebania zwłok. My zaś wracajmy, panowie, i zajmijmy się wyśledzeniem mordercy, o ile to będzie możliwem.

Zaraz nazajutrz śledztwo zorganizowane zostało. Przy pomocy najzręczniejszych detektywów z Paryża przetrząśnięto całą okolicę, badano mieszkańców, czuwano nad hotelami i dworcami kolejowymi. Trud ten okazał się bezowocny. Wobec niemożności wpadnięcia choćby na ślad mordercy, prokuratorya musiała się uznać za bezsilną.

Wkońcu pan Dupont, zniecierpliwiony i niespokojny, zniewolony był posłużyć się środkiem, używanym często w podobnych wypadkach przez policyę. Odłożył na czas jakiś dalsze poszukiwania, mniemając, że zaniedbanie to wzbudzi w mordercy nadzieję bezkarności i że wówczas zdradzi się sam w jakikolwiek sposób.

Upłynęło kilka miesięcy, nie przynosząc nic nowego. Optymistyczne przypuszczenia prokuratora nie wywołały żadnego rezultatu.

Jednakże przy końcu piątego miesiąca, kiedy już naprawdę myślano o porzuceniu tej tajemniczej sprawy, wypadek, bardziej jeszcze dramatyczny, i niezwykły, obudził nagle wspomnienie mordu, dokonanego w górach Argonii, przedstawiając prokuratoryi państwowej nową zagadkę do rozwiązania.

Terenem nowej zbrodni nie były już dzikie i niedostępne lasy ardeńskie, ale miejscowość, znajdująca się na samem południu Francyi, o kilka kilometrów od Marsylii.

II.

Corocznie, na początku września, w niedzielę, odbywa się w Marsylii wielki jarmark, po którym wieczorem następują zabawy różne i rozrywki. Dzień ten sprowadza do miasta znaczną liczbę mieszkańców okolicznych.

Na przedmieściu Marsylii, w pewnej odległości, znajduje się osada mała, Saint-Nicolas, łącząca się z miastem szeregiem wieśniaczych domów i will. Otóż, niedzieli tej, wszystkie mieszkania były prawie opustoszałe z ludności. Właściciele, kupcy, wieśniacy, udali się do Marsylii, przyłączyć się do ogólnej zabawy.

Między nielicznymi mieszkańcami, którzy pozostali w osadzie, znajdował się pan Valentin, właściciel wielkiego składu drzewa, który wolał dotrzymać towarzystwa swojej młodej żonie, cierpiącej cokolwiek w dniu tym.

Pan Valentin miał lat trzydzieści pięć, a żona jego najwyżej dwadzieścia cztery. Połączeni byli od dwóch lat, tworząc szczęśliwe i dobrane stadło, którego pogody nie zaciemniła dotąd żadna chmurka.

Jeszcze w sobotę wieczorem pan Valentin zwolnił kierownika składu i dwóch urzędników, mieszkających w tym samym domu. Cały zaś dzień następny młode małżeństwo spędziło na werandzie słonecznej, zabawiając się rozmową i czytaniem.

Kiedy noc nadeszła i sen powoli ogarniać ich zaczął, powrócili do mieszkania, udając się do sypialnego pokoju. W godzinę później cisza zupełna objęła dom cały. Co zaszło wówczas, w jaki sposób nastąpiło to straszne nieszczęście, którego ofiarą padł pan Valentin z żoną, tego nikt dokładnie dowiedzieć się nie mógł.

Zabawa w Marsylii przeciągnęła się aż do północy. Nikt jeszcze nie zamierzał opuszczać jej, by powrócić do domu. Powietrze ciepłe i czyste, niebo rozgwiaździone, pogodne, zachęcało wszystkich do dalszych przechadzek i rozrywek. Jednakże około północy punkt ciemny ukazał się na horyzoncie. Rozciągał się powoli w jedną wielką ciemną plamę i zajął wkrótce południową część nieba. Wszyscy zapytywali się, coby to być mogło. Lekki wietrzyk wiał od wschodu, nie zaciemnionego najlżejszą chmurą. Jakiż więc mógł być powód, że niebo, dotąd tak czyste i pogodne, zaciemniło się tak nagle?

Nagle snop iskier i płomieni, wzbijających się wysoko jak rakiety, rozświetlił tę zagadkową ciemną chmurę. I równocześnie zewsząd rozległy się wylęknione okrzyki:

— Pożar! Pożar! Pali się na przedmieściu!

Wszczął się hałas i zamęt nie do opisania. Cały ten tłum, przed chwilą rozbawiony i wesoły, rozbiegł się w popłochu na wszystkie strony, popychając się, tłocząc, chcąc rozpoznać gorączkowo prawdziwe miejsce wypadku. Ale nikt nie mógł tego dokładnie określić i przypuszczenia różne biegały z ust do ust. Wkrótce całe miasto zaalarmowane zostało. Straż pożarna nadjeżdżała w szalonem tempie, kierując się w stronę wzrastającej łuny ognistej.

Wszystkie zabawy w mgnieniu oka ustały. Ulice, niedawno jeszcze rojące się od rozbawionych tłumów, puste teraz były i milczące. Gdzieniegdzie rozlegały się rozpaczliwe okrzyki:

— Pali się! Pali się w Saint-Nicolas!

Zza miasta dobiegały ponure dźwięki dzwonów kościelnych, wzywających ludność na ratunek, mieszając się z ostrym głosem trąbek strażackich, a po drogach z pośród ciemności wyłaniały się głowy w błyszczących hełmach. Ludzie ci trzymali w rękach zapalone pochodnie, torując sobie przejście w tłumie oszalałym z przerażenia.

Kiedy pierwsza pomoc nadbiegła do osady, wówczas dopiero obecni mogli sobie zdać sprawę z wydarzenia. Pożar wybuchł w zabudowaniach, należących do pana Valentin. Płomienie objęły już skład cały, a z domu mieszkalnego buchały kłęby ognistego, gęstego dymu, uniemożliwiając dostęp.

— Co się stało z panem Valentin i jego żoną? — krzyknął ktoś w tłumie. — Czyżby pozostali w płonącym domu?

Rzucono się na wszystkie strony w gorączkowem poszukiwaniu, nawoływano donośnie, ale żaden głos lub jęk nie odpowiedział. — Przypuszczano więc ogólnie, że nieszczęśliwi ludzie, zaskoczeni w czasie snu strasznym tym wypadkiem, nie zdołali już uciec i zginęli w płomieniach.

Jednakże akcya ratunkowa rozwijała się energicznie. Straż pożarna czyniła nadludzkie wysiłki. Skoncentrowany dopływ wody z kilku sikawek zlokalizował wkońcu szerzący się pożar. Ze spalonego do połowy domu wydobywał się już teraz tylko dym czarny i gryzący, lecz belki i rusztowania były tak zniszczone, że dom cały groził zawaleniem. Po przedsięwzięciu pewnych środków ostrożności, kilka strażaków i wieśniaków sąsiednich wtargnęło do zagrożonego mieszkania. W części ocalonego od płomieni domu znaleziono pana Valentin i jego żonę, leżących bez życia w łóżkach. Cóż więc ich śmierć spowodować mogło? Pokój sypialny nie był wcale naruszony, a na ciałach nie odkryto żadnych śladów poparzenia, lub zaduszenia. Rysy zmarłych zachowały spokój zupełny. Zdawało się, że ludzie ci zasnęli spokojnie, nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa, aby się obudzić już w objęciach śmierci. Wszyscy obecni spoglądali po sobie ze zdumieniem, niektórzy przejęci jakimś zabobonnym strachem. Ta śmierć pogodna, pośród domu, objętego pożarem, wydawała im się nienaturalną i tajemniczą.

Tajemnicę tę wyjaśnił wkrótce lekarz, zawezwany bezzwłocznie. Kiedy podszedł do łóżka, na którem spoczywały zwłoki pani Valentin, wszyscy skierowali w tę stronę spojrzenia niespokojne i wyczekujące. Lekarz badał zwłoki przez czas jakiś w milczeniu. Na twarzy jego wkrótce wystąpił wyraz jakiegoś wahania, czy niepewności. Ujął rękę pani Valentin, badając tętno, uniósł powieki, obejrzał usta i nagle wyprostował się z dziwnym błyskiem w oczach.

— Co panu jest? — zapytał komisarz policyi, który znajdował się obok niego.

— To dziwne! — szepnął doktor.

— Co takiego?

— Niech pan spojrzy na szyję... ten znak czarny... zaledwie dostrzegalny...

— Rzeczywiście!

— Tu leży tajemnica tej nagłej śmierci...

— Ale cóż to jest? Co to ma znaczyć? Niechże mnie pan objaśni, doktorze!

Doktor odetchnął głęboko.

— Co to ma znaczyć, panie komisarzu? — odparł poważnym głosem — Że pożar, który zniszczył ten dom, jest drugorzędnem tylko zjawiskiem. Stała się tu zbrodnia straszniejsza jeszcze. Ci biedni ludzie zostali zamordowani.

— Czy pan jest tego pewny?

— Niech pan patrzy. Na szyi pana Valentina można zaobserwować ten sam znaczek czarny. Pochodzi on od zakłucia, przez które wprowadzono do ciała narkotyk, silnie działający. Wyskok rośliny trującej „stramonium datura". Nakłucie zaś to zostało uczynione cienkim lancetem, o trójkątnem ostrzu. Jak powiedziałem już, wywołanie pożaru było tylko środkiem do zatarcia tych morderczych śladów. Morderca, wychodząc stąd, zabezpieczył się tylko przed możliwością odkrycia swojego czynu.

Słowa doktora wywołały silne wrażenie na obecnych. Sąsiedzi, przejęci grozą i zdumieniem, przy pomocy kilku żandarmów przetrząsnęli dokładnie gruzy walącej się już części domu, jak i również składu drzewa i innych zabudowań. Dostrzeżono z łatwością, że ogień został podłożony w kilku miejscach równocześnie, a w sieni domu, nie zniszczonego przez płomienie, podrzucono materyały palne, pakuły, naftą oblane i pudełko zapałek.

Przypuszczenia lekarza sprawdzały się więc. Zbrodniarz podpalił dom, wychodząc, aby zatrzeć wszelkie ślady za sobą. Policya była w wielkim kłopocie. I znowu, tak, jak przed kilkoma miesiącami w lasach ardeńskich, przedstawiał się problem tajemniczy, trudny do rozwiązania. Czyżby wymordowanie rodziny Lorain, a obecnie pana Valentin i jego żony było dziełem jednej i tej samej ręki?

Przypuszczenie to wydawało się wszystkim monstrualne i nieprawdopodobne, a jednak pomiędzy temi dwoma zbrodniami przedstawiały się analogie pewne i skonstatowane. Obydwie zostały dokonane w okolicznościach, sprzyjających mordercy. Osamotnienie ofiar i uniemożliwienie ratunku, jednakowe narzędzie zbrodni, użyte z dołączeniem tej samej trucizny... Rzecz zakrawała już na czarodziejską bajkę...

Ostatnią sprawą zajęła się prokuratorya w Marsylii, z całą gorliwością i zręcznością, również bez żadnego rezultatu.

Co do tożsamości mordercy, zdania były rozdzielone. Ale ostatnie śledztwo, zorganizowane w Saint-Nicolas, odkryło koło spalonego domu odciski wąskich, małych stóp i wysokich nadmiernie obcasów. Odciski te były zupełnie identyczne ze śladami, zebranymi na folwarku Piotra Lorain. Nie było żadnych wątpliwości. Morderca, który działał na tych obydwu terenach, był jedną i tą samą osobą! Ale co za zbrodnicza namiętność, czy cel, kierował ręką tego tajemniczego człowieka?

Policya napowrót zajęła się sprawą i komisya śledcza z panem Richard, szefem policyi na czele, zjechała raz jeszcze do Saint-Nicolas, czyniąc drobiazgowe i cierpliwe poszukiwania. — W Marsylii i okolicy równocześnie operowało kilkunastu najzdolniejszych ajentów i detektywów. Ale tak samo, jak i w górach ardeńskich, nie odnaleziono żadnego śladu.

Pewnego dnia jednakże szef policyi, bez żadnego wyjaśnienia, opuścił nagle Marsylię i przybył do Paryża, nie wspomniawszy o tej niespodziewanej podróży żadnemu ze swoich ajentów. Pan Richard, czyniąc to, kierował się przyczyną, której zwierzyć nie chciał nikomu, a która pociągnąć miała za sobą ważne bardzo rezultaty.

III.

Szef policyi przybył do Paryża rano o wczesnej godzinie i natychmiast posłał po znanego mu z dawnych czasów ajenta Buvard, który był jego ulubieńcem i którego używał do pomocy w trudniejszych sprawach kryminalnych. W pół godziny później Buvard wchodził do pokoju szefa policyi w hotelu „Europa".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szósta pożyczka wojenna.

Poseł parlamentarny dr. Steinwender zamieszcza w „N. W. Tagblatt“ takie uwagi natury finansowej i ekonomicznej o szóstej austryackiej pożyczce wojennej:

„Z 18 miliardów, które uzyskano w pięciu austryackich pożyczkach wojennych, wielka część byłaby nawet wtedy subskrybowana, gdyby stopa procentowa, a nawet pewność pożyczek były mniejsze, niż są. Państwo jednak słusznie czyni, gdy nie tylko odwołuje się do patryotyzmu obywateli, lecz także daje takie warunki, które dla subskrybentów są nie ofiarą, lecz korzyścią. Bo przecież nie uchodzi, żeby każdy inny interes podczas wojny przynosił obfity zysk, a nie ten właśnie, w którym objawia się zaufanie do państwa i które daje mu możność wywalczenia pokoju.

Nawet najostrożniejszy kapitalista nie może dziś nic lepszego uczynić, ja powierzyć swoje oszczędności najpotężniejszemu i najpewniejszemu dłużnikowi, to jest państwu. Państwo dotrzyma słowa, bo uczynić to może, a za to, że chce, gwarantuje oprócz wszystkich innych rękojmi także fakt, że wierzyciele są nie garstką kapitalistów, lecz rzeszą przeszło miliona subskrybentów, którzy mają pełną polityczną i gospodarczą siłę do przeparcia swego prawa.

Lepsza sposobność ulokowania rozporządzalnych środków pieniężnych już się nie nadarzy. Jeżeliby jeszcze jedna pożyczka miała być wyłożona do subskrypcyi, będzie to już zapewne pożyczka pokojowa, która już nie będzie miała potrzeby ofiarowywać subskrybentom tak korzystnych warunków. Byłoby również błędem, liczyć na to, że po zawarciu pokoju nastanie czas wysokiej stopy procentowej. Co prawda, krótkoterminowe wkładki będą może wyżej oprocentowane, niż dzisiaj, kiedy się masami cisną do okienek bankowych, także eskont prywatny będzie droższy, ale o braku pieniędzy na ogół latami nie będzie mowy. Niewątpliwie będziemy potrzebowali kilku miliardów na sprowadzenie surowców z zagranicy, ale zapłacimy za nie naszymi środkami pieniężnymi, bez pożyczek zagranicznych. Na inne miliardy zaś, których wymagać będzie przemysł, komunikacya i rolnictwo dla swego odrodzenia, obróci się tylko część obiegu banknotowego. Podczas wojny zbierały się nowe miliardy z półrocza na półrocze; dotychczas zczerpywała je wojna, w przyszłości będą zczerpywane przez pokój, ale nie żeby zniknąć, tylko żeby się na nowo zgromadzić. Nie wpadnie nam jednak chyba na myśl, żeby bieg banknotów gwałtownie i wśród ciężkich ofiar ograniczać przez forsowne spłaty do banku austro węgierskiego; uczynimy to raczej tylko w takiej mierze, że nie zajdzie brak pieniądza i wykluczone będzie niebezpieczeństwo gwałtownego podwyższenia procentu. Oczywiście przez to wykluczona będzie dla posiadaczy gotówki możność zużytkowania rozporządzalnych środków lepiej, niż dzisiaj.

Oszczędzający lepiej tedy uczyni, nie czekając na przyszłość. Zresztą nikt dziś nie powinien pozostawać w wątpliwości, co ma uczynić ze swoim pieniądzem. Ceny gruntów i domów nie stoją w żadnym stosunku do dochodu, akcye zaś są przeważnie już przepłacone. Rozum nakazuje, aby dziś od akcyi, z której zysk się waha, żądać wyższego oprocentowania, niż od papieru lokacyjnego; ale dzisiejsze oceny wartości nie trzymają się tej wskazówki rozumu. Podczas gdy renta przynosi 5·2, pożyczka wojenna 6·4 procentu, największa część akcyi przynosi 5·4 procentu, a nawet jeszcze mniej. Przytem publiczność nie ma nawet żadnej pewności co do tego, jak długo prywatne przedsiębiorstwa zatrzymają swą wartość i jak wielkie będzie ich przyszłe obciążenie; publiczność daje się tylko porywać rosnącym kursom. Niech więc ci, którzy wcale nie chcą się dać pouczyć, kupują dalej akcye po rosnących kursach, zato pożyczka wojenna znajdzie podostatkiem odbiorców u rozsądniejszych kapitalistów“.

Odezwa namiestnika.

Namiestnictwo galicyjskie ogłasza odezwę następującą:

„Świetne zwycięstwo odniosły nasze wojska nad Soczą i niewzruszone stoją nasze szeregi na wschodnim froncie. Nowy to dowód niezłomnej siły odpornej monarchii. Na granicach żołnierze składają w ofierze krew i życie. My w kraju musimy toczyć również ciężką walkę. Co potrzebne dla utrzymania armii, winniśmy dostarczyć.

Właśnie ukończyliśmy w ciężkim trudzie wiosenny zasiew a już czeka nas nowy obowiązek, subskrypcya VI. pożyczki wojennej. Spowodowaną czysto technicznemi trudnościami zwłokę w sporządzeniu, a więc i wydaniu subskrybentom obligacyi V. pożyczki wojennej zużytkowały pewne, wrogie monarchii żywioły do agitacyi przeciw VI. pożyczce wojennej. Każdemu jest znane korzystne ogólne położenie monarchii. Ufam więc w rozwagę i dojrzałość ogółu i nie przywiązuję do takich zarzutów żadnego znaczenia. Subskrypcya na pożyczkę wojenną nie jest ofiarą i owszem nadarza się sposobność do korzystnej lokacyi, oszczędności.

Niech każdy subskrybuje w miarę swych środków! Ubogi małą kwotę — z licznych małych kwot powstanie duża suma — bogaty wielką kwotę. Zwłaszcza te klasy ludności, które osiągnęły wielkie zyski wojenne, winny oddać państwu z powrotem to, co im tak obficie przypadło w udziale.

Królestwo Galicyi i Lodomeryi, mogące najlepiej osądzić straszne skutki inwazyi, winno już z samej wdzięczności dla armii, która oswobodziła je z jarzma nieprzyjacielskiego, dołożyć wszelkich wysiłków, by podtrzymać jej bitność. I choć nasz udział w subskrypcyi będzie stosunkowo mniejszy, niż innych krajów koronnych, wypadkami wojennymi mniej dotkniętych, to jednak, licząc na znaną mi dobrze wierność ludności w kraju dla dynastyi i jej wypróbowany patryotyzm, oczekuję ze spokojem wyniku subskrypcyi.

Niech więc każdy skorzysta z przedłużonego po dzień 22. czerwca okresu subskrypcyjnego i z patryotyczną gotowością weźmie udział w VI. pożyczce wojennej. Tem przyczyni się każdy do rychlejszego powrotu naszych synów i ojców do domowego ogniska. Im świetniejszy będzie wynik subskrypcyi, im obfitsze będą środki, których państwu dostarczymy, tem usilniej ujawni się nasza wola przetrwania, tem rychlej spostrzegą się nasi wrogowie, że nic nas pokonać nie zdoła i tem prędzej zbliżymy się do upragnionego celu... do pokoju!

Kraków, dnia 8. czerwca 1917.

C. k. namiestnik: *Huyn G. P.*, w. r.“

Z tygodnia.

Oświata Królestwa w rękach rządu polskiego.

Rektor uniwersytetu warszawskiego podał do wiadomości studentów odezwę dyrektora departamentu wyznań religijnych i oświecenia publicznego Tymczasowej Rady Stanu, nadesłaną w dniu 12. b. m. treści następującej:

„Uniwersytet i politechnika, łącznie z całem szkolnictwem Królestwa Polskiego, będą w krótkim przeciągu czasu przejęte przez władze państwowe polskie. Urzeczywistnione będą gorące nasze pragnienia. Dalszy bieg oświaty narodowej zależny będzie od nas samych; weźmiemy na swe barki odpowiedzialność za jej przyszły rozwój. Dziś zespolić musimy wszelkie siły i środki, aby jak najprędzej i najwspanialej wznieść własny, rodzimy gmach oświaty narodowej. Nie wolno nam marnować czasu; każdy z nas ma przed sobą wielkie zadanie do spełnienia. Ale zmiana istniejących warunków przez całkowite przejęcie szkolnictwa, wobec rozmiarów zagadnień, nie może być dziełem jednego dnia, jakby tego pragnął i jak to sobie wyobraża ogół. Uruchomienie nowej organizacyi wymaga czasu i następować może stopniowo. Na pierwszy plan wysunięte być muszą sprawy zasadnicze; sprawy o charakterze drugorzędnym muszą być narazie usunięte na plan drugi. Wreszcie niektóre dziedziny, jak n. p. kasowość, ze względu na ład administracyjny, mają pewne określone terminy, związane z zakończeniem półrocza, w których przyjęte być mogą.

Dyrektor departamentu wyznań religijnych i oświecenia publicznego

Józef Mikułowski-Pomorski“.

Anglia za niepodległą Polską.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi:

„W odpowiedzi rządu angielskiego na notę rosyjską o celach wojennych sojuszników, powiedziano między innemi:

Anglia nie podjęła wojny w celach zdobyczy i nie prowadzi jej dalej w celu osiągnięcia zdobyczy. Jej zamiarem było bronić istnienia własnego jej kraju i wymusić poszanowanie zobowiązań międzynarodowych. Do tego celu przyłączyło się jeszcze oswobodzenie ujarzmionych przez obce panowania ludów. Rząd angielski cieszy się więc serdecznie, że wolna Rosya zapowiada zamiar oswobodzenia Polski i nie tylko Polski, nad którą panowała dawna rosyjska autokracya, lecz w równej mierze także Polski, znajdującej się pod panowaniem niemieckich cesarstw. Dla tego kroku życzy demokracya angielska Rosyi pełnego powodzenia“.

Wilson o niemieckiej „intrydze pokojowej“.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi:

„Na wielkiem patryotycznem zebraniu, Wilson wygłosił mowę, w której oświadczył, że Niemcy, zrealizowawszy większą część swego bezpośredniego planu zdobywczego, teraz propagują plan nowy, mianowicie intrygę pokojową. Wojnę rozpoczęli militarni wszechwładcy Niemiec, którzy narody przemocą albo podstępem pozyskali dla swych celów. Ich zamiarem było stworzyć strefę niemieckiej potęgi militarnej i politycznego władztwa w poprzek środkowej Europy aż do serca Azyi. Austro-Węgry były tu tak samo narzędziem, jak Serbia, Bułgarya i Turcya.

Od roku mówi się w Niemczech o pokoju. Rząd niemiecki ma w rękach cenne zastawy, posiada wartościową część Francyi, całą Belgię, ich armia wywiera silny nacisk na Rosyę. Militarni wszechwładcy, pod którymi Niemcy krwawią, mają teraz jeszcze jedną tylko drogę do trwałego utrzymania swej militarnej władzy, mianowicie, jeżeliby teraz mogli pokój osiągnąć. Olbrzymiemi korzyściami, jakie posiadają jeszcze w swych rękach, usprawiedliwią się przed narodem niemieckim. Ich celem jest oszukać tych, którzy występują w imieniu praw ludów i samorządu narodowościowego, gdyż Niemcy widzą, jaką olbrzymią moc czerpią z wojny siły sprawiedliwości i liberalizmu. Rosyjscy rewolucyoniści będą odcięci od wszelkiego pomagania zachodniej Europy i będzie propagowana kontrrewolucya. Nawet same Niemcy utracą sposobność stania się wolnemi, a cała Europa będzie się zbroić do najbliższej ostatecznej walki.

Taką szkodliwą intrygę uprawia się w Stanach Zjednoczonych, niemniej jak w Rosyi i we wszystkich krajach Europy, do których mają dostęp niemieccy agenci i ludzie, obałamuceni przez rząd niemiecki. Ci podżegacze głoszą, że Niemcy mają cele liberalne i powiadają, że jest to wojna zagraniczna, od której Ameryce nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wysuwają oni Anglię na środek sceny i fałszywemi oświadczeniami lojalności usiłują podkopać wytyczne rządu. Mamy do wyboru, albo złamać te schlebiania i maskowania zwykłego gwałtu i dopomagać do oswobodzenia świata, albo też dopuścić, aby nad światem zapanowała siła zbrojna. Dla nas był tylko jeden wybór. Uczyniliśmy go i biada temu, kto nam na drodze stanie“.

Na wypadek ataków lotniczych w Krakowie.

Dyrekcya policyi w Krakowie ogłosiła wskazówki co do zachowania się ludności na wypadek ataków lotniczych na miasto. Ogłoszenie zaznacza, że w obrębie krakowskiej twierdzy nie zachodzi najmniejsze niebezpieczeństwo takich ataków, nie jest jednak wykluczone, że nieprzyjaciele usiłować będą swoje ataki lotnicze rozszerzyć także na dalsze poza frontem leżące części kraju i z tego powodu komenda twierdzy w Krakowie na zarządzenie ministerstwa wojny te wskazówki wydała.

Między innemi czytamy w tych wskazówkach, iż posterunki uliczne i żandarmerya twierdzy dadzą znak gwizdkami o grożącem niebezpieczeństwie. Ruch wszelki będzie zastanowiony. Bramy wjazdowe i wchodowe do domów mają być dla każdego przechodnia dostępne. Osobom, szukającym schronienia, należy zezwolić na wejście do wszelkich budynków cywilnych i szpitali wojskowych oraz koszar. Gromadzenie się na ulicach jest zakazane. W porze nocnej należy pogasić wszystkie wychodzące na zewnątrz światła. Używanie telefonów jest w czasie alarmu zakazane. Przebywanie na wolnem powietrzu, przy oknach i drzwiach jest zakazane ze względu bezpieczeństwa. Schronienia należy szukać pod grubymi murami na piętrach niższych i w piwnicach. Nie należy się gromadzić w pojedynczych ubikacyach. Ogłoszenie to ma być umieszczone w sieniach wszystkich domów.

Kronika tygodniowa.

Sądzę, że chyba potrafiłem poprzednią kroniką zadowolić tych, którzy kilkakroć wyrażali swoje życzenia, bym częściej dawał nurka w odmęty polityki. Kosztem aprowizacyi, na którą mi miejsca nie zostało, omówiłem najważniejsze kwestye, o mniej i więcej ogólnem znaczeniu, a nie moja w tem wina, iż sprawa kocia wysunęła się na pierwsze miejsce. Spotkał mnie też za to i dowód uznania, otrzymałem bowiem onegdaj wonny liścik (na różowym papierze), w którym nieznana mi bliżej z nazwiska i miejsca zamieszkania jejmość stwierdza, że jako przyjaciel kociego rodu muszę być też i zacnym człowiekiem, gdyż dowiedzionem jest doświadczeniem wiekowem, iż miłością ku nim odznaczają się tylko szlachetne dusze, gorące serca i wzniosłe umysły.

Aż podrosłem, naturalnie we własnych tylko oczach, gdym się dowiedział o zaletach, jakiemi się odznaczam, choć kłam zadaje temu moja karta legitymacyjna pospolitego ruszenia, wykazująca, że od ubiegłego roku skurczyłem się o jeden centimetr. Gdym przy poprzednim „musterunku“ liczył na wysokość aż sto sześćdziesiąt i ośm centimetrów, w roku bieżącym zanotowano tylko sto sześćdziesiąt siedm, co jest rzeczywistym dowodem, iż z „żywej wysokości“ utraciłem cały jeden centimetr, wobec czego jestem w kłopocie, gdyż, jeżeli się w tym samym stosunku powtórzy to i przy następnych „musterunkach“, za sto sześćdziesiąt siedm lat nic ze mnie nie zostanie. Chyba, jeżeli się wojna wcześniej skończy i przeglądy ustaną, a ja *eo ipso* stracę sposobność przekonywania się w drodze urzędowej, czy zyskałem na wzroście, czy też straciłem.

Wspominam zaś o tem głównie z tego powodu, aby Szanownej Korespondentce ze Lwowa, która domaga się koniecznie, aby Redakcya pomieściła już raz podobiznę kronikarza na swych szpaltach, dać bodaj w przybliżeniu obraz mej postaci, która, powiem prawdę, ani z przodu, ani z tyłu nie przypomina bynajmniej Apollina. Mierzę więc na wysokość, jak się wyżej rzekło, centimetrów sto sześćdziesiąt i siedm, oczy posiadam, jak jedni twierdzą, niebieskie, inni bure, a jeszcze inni niezdecydowanego koloru, nos proporcyonalny (zupełnie jednak wystarczający na własny użytek), poszycie głowy mam, gdzie nie świeci łysina, ciemne, wąsy zaś, składające się z trzech włosów w siedmiu rzędach. To są dane urzędowe, stwierdzone pieczęcią magistratu krakowskiego w mem „Potwierdzeniu osoby i zgłoszenia się“. Zanim więc nadarzy się sposobność opublikowania mej fizyognomii na łamach naszego pisma, co może mieć miejsce z okazyi jakiego jubileuszu lub familijnej uroczystości (n. p. złote wesele), ciekawa Lwowianka, o ile jest domyślną i posiada dość fantazyi, może sobie już wyrobić sama obraz mojej postaci, która, powiem nawiasem, nic na tem nie straci, choćby ją kto zasmarował nawet smołą (jak to miało miejsce niedawno na wystawie w Sukiennicach), zwłaszcza, że „pech“ prześladuje mnie stale od samego urodzenia i jemu tylko zawdzięczam, iż jestem kronikarzem, a nie milionerem. Szelma bocian, niosąc mnie na ten świat, pomylić się musiał w adresie.

Równocześnie narzeka owa pani na chleb lwowski, iż jest kwaśny, a tem samem do krakowskiego podobny, co jest zresztą rzeczą bardzo słuszną, gdyż nawet nie wypadałoby, by Lwowianom lepiej się powodziło niż nam. Jeśli mamy cierpieć, cierpmy wszyscy razem, wspólne cierpienie znosi się daleko łatwiej. To jedno jest dobrem, iż nie wiemy przynajmniej z czego nasz chleb się składa, gdy natomiast Warszawiacy są w tym kierunku już dokładnie uświadomieni. Według rewelacyi wtajemniczonego w *arcana* piekarskiej sztuki, na sto funtów masy, służącej do wypieku chleba warszawskiego, przypada: mąki dwadzieścia cztery i pół funta, kasztanów siedmnaście funtów, żołędzi czternaście funtów, łubinu dwadzieścia jeden, trocin sześć, kory drzewnej dwanaście, otrąb dwa i pół, miazgi kartoflanej cztery. Jak z tego wnosić można, chleb ów musi być bardzo pożywny, stanowczo bowiem dłużej leży w żołądku, niż zwyczajny, przedwojenny, na który nieraz tak się narzekało. Kłuł nas w zęby, a teraz wspominamy go z taką lubością.

Zapytywałem jednego z krakowskich piekarzy o skład chemiczny naszego pieczywa, zasłonił się tajemnicą urzędową, której mu zdradzać nie wolno i dobrze zrobił, gdyby bowiem powiedział prawdę, odebrałby człowiekowi resztę apetytu.

— Nie pytaj pan, z czego się składa — tak zakonkludował — ale bądź pan kontent, iż wogóle jest, łatwo bowiem może się zdarzyć, iż go pewnego dnia zupełnie braknie. Magistrat wydziela coraz mniej mąki, choć coraz więcej obiecuje, a z samych trocin, choćby się było i najlepszym fachowcem, chleba się nie wypiecze!...

Przyznałem mu najzupełniejszą racyę, gdyż spieszyłem na doroczną uroczystość „lajkonika“, w której od lat biorę czynny udział, jako jeden z ciekawych, czy się zmienił, czy nie. Niewiele brakowało, a bylibyśmy zmuszeni obejść się bez tej ludowej uroczystości, jak się obchodziliśmy bez opery i wyścigów, a powoli przyzwyczajamy się i do obchodzenia się bez jadła i napoju, gdyż obywatel Nalepa, pełniący funkcye „Tatara“, służy obecnie w pospolitem ruszeniu, a nikt tak po mistrzowsku, jak on, nie potrafi bębnić pałką po grzbietach Krakowian i nadobnych Krakowianek. Na szczęście otrzymał urlop i sytuacya uratowana!

W tryumfalnym pochodzie przeciągnął „lajkonik“ z Półwsia na Rynek, odwiedził Wentzla i Hawełkę i powrócił znów na przedmieście, by zamienić chałat tatarski na mundur austryackiego pospolitaka. Ale naród miał frajdę, a to grunt, najbardziej zaś cieszył się pono ów jegomość, któremu w ścisku wyciągnięto z kieszeni pugilares z kilkoma tysiącami koron. Ten będzie pamiętał „lajkonika“ długie lata i przy najbliższej sposobności postawi z pewnością wniosek, iż najwyższy już czas, by zerwać z dawnemi tradycyami które go tak wiele kosztowały.

Inny pan narzekał znowu, iż ciekawa gawiedź podeptała mu nogi, ale o to się nie gniewa, gdyż cierpienie jest udziałem każdego człowieka, a co się wycierpi tutaj, to odliczonem zostanie w życiu przyszłem. Żal mu tylko nowych, nieskazitelnie białych trzewików, o podeszwach z bawolej skóry, które również srogo ucierpiały. Sam sobie jednak winien, nie trzeba się było pchać między gawiedź. Zresztą magnezyą dadzą się doskonale wyczyścić.

Ja wyszedłem natomiast zupełnie bez szwanku, wybrałem sobie bowiem wygodny a bezpieczny odcinek, skąd, nie inkomodowany przez nikogo, mogłem cały przebieg uroczystości dokładnie obserwować. Gdzie byłem, nie zdradzę, bojąc się, by w przyszłym roku inni ciekawi nie chcieli pójść w me ślady, na czem wyszedłbym sam najgorzej, tracąc wygodny punkt obserwacyjny.

Gdyby to odemnie zależało, korzystając z obchodu „konika“, urządziłbym na Rynku krakowskim plebiscyt, w którym każdy mógłby się oświadczyć, czy sobie życzy wojny, czy pokoju. Jestem pewny, że prawie wszyscy głosowaliby za pokojem, zwolenników wojny byłaby znikoma jeno liczba, a i tych kazałbym „lajkonikowi“ przepędzić na Kazimierz, gdzie mają zmagazynowane towary i czekają na dalszą jeszcze zwyżkę cen. Nic też dziwnego, że uradowała się ich dusza i serce, gdy wyczytali, że jakiś tam polityk niemiecki utrzymuje, iż wojna potrwa jeszcze przynajmniej trzy lata, a to im zupełnie wystarczy, by tymczasem mogli wysprzedać swe zapasy. Owemu politykowi, gdybym nawet znał go osobiście, lub choć wiedział, jak doń list zaadresować (najlepiej atramentem!... przyp. zecera), napisałbym krótko, a węzłowato: „Bodajżeś w konia wlazł!... Za twe gadanie niechaj ci wyrośnie pypeć na języku“.

Jeżeliby bowiem miała się spełnić jego przepowiednia, to nie pozostaje nic innego, tylko już dzisiaj „wyewakuować się“ z tego świata!... Ale w jaki sposób? spyta kto może... Hm!... Na to trudno odpowiedzieć. W łeb sobie nie strzelisz, gdyż broni palnej mieć ci nie wolno, otrucie także wykluczone, zamiast bowiem arszeniku, cyankali lub strychniny otrzymasz, co najwyżej, jakiś lichy surogat, o powieszeniu ani mowy, gdyż sznurek, zrobiony z papieru, nie wytrzyma ciężaru twojego cielska... Pozostaje rzucenie się z trzeciego piętra na bruk, lub utopienie we Wiśle, gdyż Rudawa jest zbyt płytką. Ale i tu czekają cię trudności. Skacząc z okna lub dachu, zanieczyścisz ulicę i narazisz się na odpowiedzialność wobec władz miejskich, które czystości na ulicach i placach tak pilnie przestrzegają. Chyba więc jedna Wisła pozwoli w swych nurtach zapomnieć o wszystkiem, co ci dolega i co cię gryzie... Pędzisz więc nad jej brzeg, ale zastajesz już całą gromadę obywateli różnego wieku i płci, których ta sama myśl przywiodła tutaj, co i ciebie... A wśród nich uwija się władza bezpieczeństwa, ustawia ich „w ogonek“ i głosi:

— Proszę stawać w szeregu!... Kto wcześniej przyszedł, pierwej skoczy!...

I tak każą ci czekać i tutaj na swą kolej, więc łatwo być może, że się rozmyślisz i wrócisz pod swój dach, by dalej klepać biedę i czekać, kiedy się ta wojna skończy... Bo chyba wieki trwać nie może. Minęły już te czasy, gdy miano ochotę bić się siedm lat, lub nawet trzydzieści. My, po trzech latach, powiemy z przyjemnością *pas!* To tylko bieda, iż nie wolno się tak wygadać, jakby człowiek chciał, łatwo bowiem zdarzyć się może, iż kronika zachoruje na tyfus plamisty, na co coraz częściej zapadają nasze pisma codzienne, podające sprawozdania z sesyi parlamentarnej. Posłowie mówią swoje, cenzura robi swoje, czytelnicy zaś mają tę pociechę, iż się mogą tylko domyślać, co też mogło być, a raczej miało być w tem miejscu, które teraz jest tak straszliwie białe... Ale też na tem właśnie tle powstają najdziwaczniejsze przypuszczenia, prawdziwe „opowieści Hoffmanna“, które, „na ucho“ podawane, z każdą minutą rosną coraz bardziej i przybierają coraz fantastyczniejsze kształty. Niema dnia, (chyba wtedy, gdy knajpki zamknięte), by na światło dzienne nie wyfrunęła jakaś sensacyjna wieść: ultimatum, koniec wojny, odrębny pokój... mieszają się ze sobą, niczem szkiełka w kalejdoskopie. Czy zatem nie byłoby lepiej i wygodniej, gdybyśmy wiedzieli, jak sprawa naprawdę stoi? Wówczas musiałoby wziąć w łeb i owo polityczne bajczarstwo, które się w ostatnich czasach tak rozrosło. Są ludzie, i to na stanowiskach urzędowych, którzy uważają sobie za punkt honoru wymyślanie i puszczanie w świat najnieprawdopodobniejszych wieści i ogromnie ich to cieszy, że inni tacy naiwni iż na ślepo im wierzą. A potem, choć stało się zupełnie inaczej, niż przepowiadali, biorą się z uroczystym gestem pod boki i powiadają:

— A co?... Nie mówiłem?!... Tak się przecież stać musiało!

Dla takich osobników wymyśliłbym specyalną karę przybicie gwoździem za język do specyalnej barycry, ustawić się mającej kosztem miasta na krakowskim Rynku. Ale obawiam się, że Rynek okazałby się może zbyt mały, wobec czego proponuję przeniesienie jej na Błonia, ale dopiero po wykopaniu tych ziemniaków, których jeszcze przeważnie nie zasadzono, gdyż zamiast do Krakowa, pojechały gdzieindziej. Gdyby ktoś przed laty powiedział komuś, że będziemy kiedyś zmuszeni sprowadzać ziemniaki na własny użytek z Holandyi, gdy my tego artykułu innym krajom dostarczaliśmy, byłby się wyśmiał w oczy i zapytał: „Kpisz, czy o drogę pytasz?“... A jednak doszliśmy do tego i bardzo będziemy zadowoleni, jeśli je otrzymamy, bo zwykle tak się dzieje, że, nim dojdą do Krakowa, po drodze znajdą się na nie amatorowie. A aprowizacya z dnia na dzień staje się coraz trudniejszą, gdyż różnego rodzaju centrale jakby umyślnie starają się o to, byśmy dostawali wszystkiego jak najmniej i mieli powód do narzekania. Na dobitek ściągają do Krakowa coraz to nowe władze (w najbliższym czasie Rada Szkolna krajowa), warunki więc stać się muszą tem samem jeszcze uciążliwsze.

Jedno jedyne masło w ostatnich czasach podobno potaniało, ale cóż nam z masła, jeśli brak chleba? Nikt chyba nie uwierzy, że za bochenek jednokilogramowy, przywieziony z Królestwa, żądają dziesięć koron, a za zwykłego komiśniaka, którego dawniej dostał za szóstkę, trzy korony! I są tacy, którzy tyle chętnie płacą i jeszcze są zadowoleni, że mogli dostać.

I bądź tu sytym, a to jest przecież konieczny warunek, jeśli się chce mieć dobry humor, a tego każdy od kronikarza wymaga! A cóż on, biedny, ma począć gdy różne ciosy godzą weń z różnych stron, z góry i z dołu, z przodu i z tyłu... Ot! Świeżo znowu rozeszła się smutna wieść, która w bezdeń rozpaczy pogrążyła wszystkich piwoszów, iż browar mieszczański w Pilźnie, owo źródło, z którego ciekło piwko marki B. B., przemieniająja na fabrykę wody sodowej! To już prawdziwa profanacya i poprostu igranie z naszemi uczuciami! Ale temu może winni i nasi panowie restauratorzy, którzy nieraz nie żałowali wody sodowej, by dodać piwu... aniumszu! Może to jednak zwykła kaczka dziennikarska... tak powiada niejeden, opędzając się zwisającej nad nim, niby czarny kruk, rozpaczy.

Parlamentowi naszemu, raczej jego obradom, postanowiłem w swoim czasie poświęcić osobną kronikę polityczną, na razie ograniczyć się muszę do krótkiej wzmianki o bardzo nieparlamentarnem i niepolitycznem wystąpieniu posła niemieckiego Heinego (z grupy „słodkiego“ Wolffa), który odezwał się w ciągu dyskusyi, iż „w Galicyi jeszcze zbyt mało wieszano“. Jak nas zwłaszcza Wszechniemcy kochają, wiemy o tem oddawna, pan Heine zbyt się dał jednak unieść szowinizmowi, za co, niestety, nie spotkała go zaraz zasłużona nagroda, która byłaby ostrzeżeniem dla innych, co ich czeka za podobne napaści. Prezydent przywołał go wprawdzie do porządku, koledzy starali się go wytłumaczyć, a poseł Daszyński dał mu należytą odprawę, ale to wszystko zamało, tak jak zbyt łagodnem było scharakteryzowanie postępku przez posła Steinhausa, który nazwał go: bezgraniczną podłością... Rozum, to dobra rzecz, ale trzeba go mieć, a Pan Bóg karze często ludzi w ten sposób, że im rozum odbiera. Widocznie poseł Heine musiał dużo nabroić.

Z drugiej jednak strony jestem pewnym, iż nie tylko pan Heine, ale i inni Niemcy byliby bardzo zadowoleni, gdyby wywieszano wszystkich mieszkańców galicyjskiego *Bärenlandu*, więcej bowiem zostałoby dla nich do jedzenia, a oni tylko swój brzuch mają na względzie i w jego imię tak zawzięcie walczą!...

Zagadki do nagrody.

Okienko.
Ułożył M. D., poczta pol. 286.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
d h i
i k k m m
o o o
o r r s s

Znaczenie wyrazów: 1 Król fenicki. 2. Wyspa na morzu Śródziemnem. 3. Zasłona twarzy.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Henio da podarek indora.

Grzebieniówka.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwiska dwu założycieli państwa litewskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech 2. Miasto w Chinach. 3 Jezioro w Ameryce północnej. 4 Miasto w Niemczech 5. Państewko murzyńskie w Afryce 6. Miejsce kąpielowe na Węgrzech. 7. Słynny wodospad.

Łamigłówka literacka.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Znaleźć tytuły dzieł wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski. czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety.

Heine?
Szekspir?
Hebbel?
Szekspir?
Czirikow?
Pol?
Schiller?
Szajnocha?
Słowacki?
Göthe?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sieczka pisze, a teren wisi.

Łamigłówka.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą wydarzenie polityczne z niedawnych czasów

—dam
—nnt
—ata
—ork
—ość
—rak
—zar
—ard
—nam
—yna
—zya
—ząd
—mor.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Gdy pop łaknie tonu, to bies puszcza mu drut.

Trójkąt magiczny.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Inaczej wyobraźnia. 3. Ulewny deszcz 4 Dawni mieszkańcy Europy. 5. Wzniesienie. 6. Imię żydowskie. 7 Góry w Europie 8. Miara angielska. 9. Rzeka we Włoszech 10. Rzeka w Azyi. 11. Spółgłoska.

Szarada.
Ułożył St. R., Ożydów.

Litera w literze,
To ci ptak nielada!
Ma skrzydła i pierze
I.. ogon posiada!

Bilety wizytowe.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

P. TĄKIN.

K. L N. CEZAR

S. RZUMBIRT.

MOCZYPAW.

Ż. SARETIN

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Zadanie do przestawienia: Buraczki do kaczki

Łamigłówka literacka:
Wróg ludu.
Anhelli.
Chatka w lesie.
Łacina w życiu codziennem.
Alina.
Wilhelm Tell.
Spekulant
Ifigenia w Taurydzie
Enoch Arden.
Rymoty i ramotki.
Otello.
Szaraczek i karmazyn
Zaklęte usta.
Emeryt.
Wieczorne pieśni
Sobótka.
Kirgiz.
Irydyon.

Zadanie do przestawienia: Kazał pan, zrobił sam.

Okienko:

A l e m b i k
l a a
e l s
m a l i g n a
b g c
i n y
k a s a c y a

Zadanie do przestawienia: Kto nie ma grosza, nie umaza i nosa.

Szarada: Galary.

Okienko:

R e s n a
e a l
s a n k i
n k n
a l i n a

Logogryf:

K o k o s
O t t o n
N a b a b
I d r y a
K o d a k
Z a j ą c
W z r o k
I n d e x
E g i d a
R a d c a
Z a w ó j
Y l a n g
N i e b o
I n d u s
E t u d a
C a ł u s
K o g u t
I n d y k

Bilety wizytowe: Bartnik. Kolodziej. Kościelny. Inspektor policyi. Robotnik dzienny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadnlska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdalska Koropnż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Blachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R Książek Miejsce Piastowe, E. Winter Tarnów, M Lewicka Przemyśl, Romek J., Kraków, J. Zaleski Lwów, H Mirski Warszawa, B Wojciechowski Lublin

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Wilczkiewicz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Pieśń o Krakowie. Świeżo ukazał się w handlu księgarskim poemat narodowy na tle Legionów p. t. „Pieśń o Krakowie“, pióra Leopolda Kronenberga, autora śpiewek i poezyi żołnierskich. „Pieśń o Krakowie“ przedstawia pamiętne chwile roku 1914, kiedy to w Krakowie zaczęły się tworzyć Legiony polskie do walki z caratem. Poemat zawiera wiele ustępów patryotycznych i z wielu względów zasługuje na przeczytanie. Jest on dalszym ciągiem wydanego przez tegoż autora poematu epicznego p. t. „Rada w Szczepanowie“. Cena egzemplarza 60 hal; zamówienia przesyłać można pod adresem: L. Kronenberg, Krosno.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.